NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. | Kraków, 2 maja 1908. | Nr. 18.

Krwawa tragedya w Warszawie.

(Treść na str. 4)



Nowy namiestnik Galicyi.

Rozporządzeniem Korony powołany został na naczelnika administracyi kraju naszego, na trudne i odpowiedzialne stanowisko namiestnika dr. Michał Bobrzyński, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, były wiceprezydent krajowej rady szkolnej, jeden z najwybitniejszych polityków kierunku konserwatywnego.

Nominacya ta, ogłoszona ostatecznie w ubiegły wtorek, a na kilka dni przedtem znana i głośno omawiana, nie była wcale niespodzianką. Bo z pomiędzy wymienianych po przedwczesnym zgonie śp. Potockiego kandydatów, wyróżniał się dr. Bobrzyński bardzo wybitnie zarówno zdolnościami swojemi, jak wiedzą szeroką, jak energią i wielkiem doświadczeniem politycznem, nabytem w ciągu wieloletniej pracy publicznej.

Urodzony w Krakowie 30 września 1849, ukończył w rodzinnem mieście studya prawnicze z tytułem doktora, a w rok potem halitował się na docenta historyi prawa polskiego na uniwersytecie Jagiellońskim. Wcześnie rozpoczętą poważną pracę naukową młodego profesora, uwieńczył wnet szereg dzieł pierwszorzędnej wartości. Rozprawy „O ustawodawstwie nieszawskiem Kazimierza Jagiellończyka“, „O dawnem prawie polskiem, jego nauce i umiejętnem badaniu“, „Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra“, „Kazania sejmowe Skargi“ — oto ich część drobna. Powszechną jednak uwagę zwrócił na siebie i swą naukową działalność dr. Bobrzyński największą drukiem ogłoszoną pracą p. t. „Dzieje Polski“. Rzecz ta, napisana z wielkim niewątpliwie talentem i znajomością przedmiotu, wywołała jednak głośną, a przeważnie ujemną krytykę, ze względu na odmienne od powszechnie przyjętych tłomaczenie przyczyn upadku Rzeczypospolitej. Autorowi zjednało nadto dzieło to markę polityka konserwatywnego.

Pod sztandarem też tej partyi rozpoczął dr. Bobrzyński karyerę polityczną, wybierany do rady miasta Krakowa, do Sejmu krajowego i do rady państwa. We wszystkich tych ciałach ustawodawczych dał się młody podówczas polityk poznać jako siła parlamentarna wprost niepospolita, jako znakomity znawca stosunków wewnętrznych kraju, jako mówca jeden z najwytworniejszych.

Dalszym szczeblem w karyerze dr. Bobrzyńskiego było powołanie go w r. 1890 na wiceprezydenta rady szkolnej krajowej, na stanowisko w tym właśnie czasie stworzone, równocześnie z rozszerzeniem kompetencyi samej instytucyi. Przez



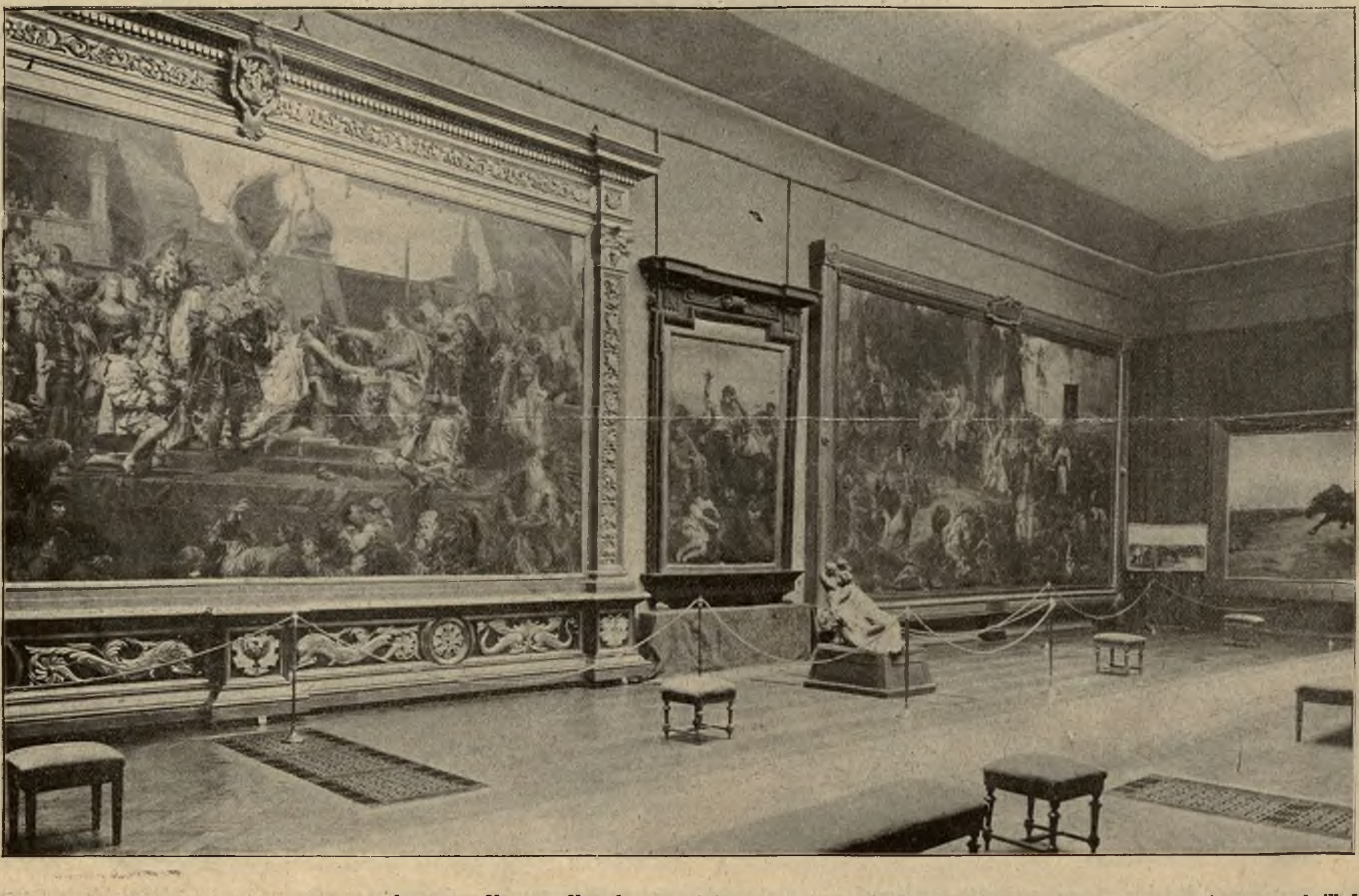
Nowy namiestnik Galicyi: J. E. dr. Michał Bobrzyński.

dziesięć lat kierował dr. Bobrzyński nawą szkolnictwa krajowego, a okres ten, znany jako „era Bobrzyńskiego“, nie zjednał swemu twórcy w szerokich kołach, demokratycznie usposobionych, ani sympatyi, ani uznania. Pierwszemu wiceprezydentowi zarzucono autokratyzm w zapatrywaniach na potrzeby szkolnictwa, absolutyzm w stosunku do podwładnego nauczycielstwa, niedość energiczne trzebienie analfabetyzmu i wogóle konserwatywne dążności. Ustąpienie dra Bobrzyńskiego z tego stanowiska mogło być uważane za koniec jego politycznej karyery.

Tak się jednak nie stało. Dr. Bobrzyński jest człowiekiem w sile wieku, a zdolności i energia, oraz szczera chęć do szerokiej działalności i do służby publicznej nie mogły mu pozwolić na długie wywczasy. Zajęcia zaś naukowe, jako profesora uniwersytetu, zostawiały mu dość czasu na udział w dalszym życiu publicznem. To też w Kole polskiem, którego był członkiem po ponownym w 1903 r. wyborze na posła do rady państwa, wybił się odrazu na czoło potężnej wówczas i wpływami i liczbą mandatów partyi konserwatywnej. A teraz gdy wewnętrzne stosunki kraju naszego tak fatalnie się ułożyły, gdy rozwydrzenie nacyonalistyczne, wywołane sztucznie ukrainską agitacyą, tak potworne przybrało rozmiary i formy, gdy okazała się potrzeba oddania rządów kraju w ręce silne i energiczne, a dające rękojmię rozwiązania całego szeregu spraw doby bieżącej, powszechnie zwrócono oczy na postać profesora Bobrzyńskiego, jako niemal jedynego, który ciężkiemu zadaniu byłby w stanie podołać.

Powołanie dra Bobrzyńskiego na namiestnika Galicyi jest faktem wielkiej politycznie doniosłości. Przez społeczeństwo polskie będzie też powitane sympatycznie. Bo choć nowy namiestnik wyszedł z partyi konserwatywnej i tej partyi jest najwybitniejszym dziś przedstawicielem, wątpić nie można, iż na wysokiem stanowisku partyjnej polityki uprawiać nie będzie. Jako zaś umysł szeroki i otwarty, potrafi ocenić znaczenie rozwijającego się ruchu demokratycznego.

Z dwóch zaś szczególnej powodów winno społeczeństwo polskie powitać z zadowoleniem nominacyę dra Bobrzyńskiego. Raz dlatego, że namiestnikiem został polityk a nie urzędnik, jak tego domagali się Ukraińcy i centralistyczna prasa niemiecka, powtóre, że politykiem tym jest mąż wielkiej energii, który zdoła stawić czoło hajdamackiej zawierusze, a kontynuować będzie politykę ś. p. Andrzeja Potockiego.

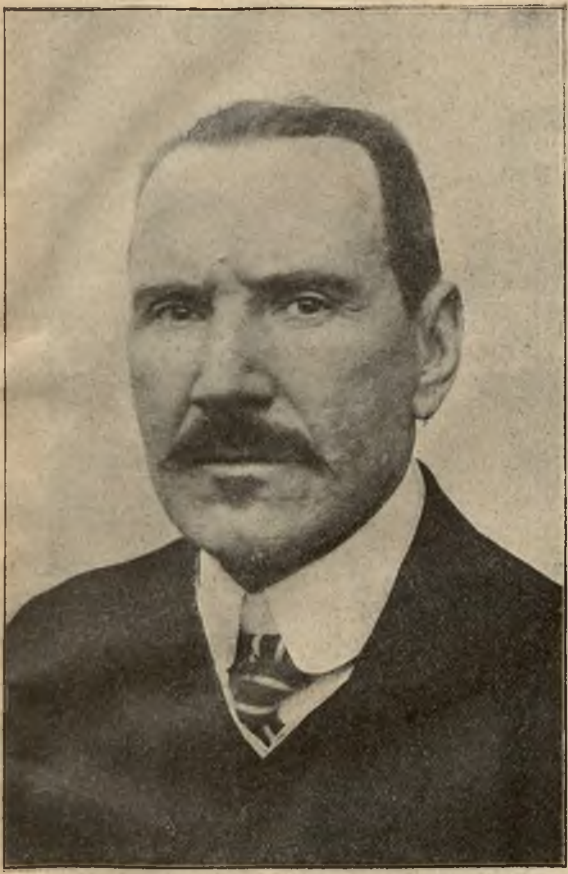


Jeszcze o Muzeum Narodowem: Główna sala z obrazami mistrza Matejki. Aparatem red. W. Lis

Zgon b. generał-gubernatora Warszawy.

(Do illustracyi na str. 10).

Jednym z najwybitniejszych dyplomatów rosyjskich ostatniej doby był zmarły przed kilku dniami



Jeszcze o Muzeum Narodowem: Teodor Nieczuja Ziemięcki.

Paweł hr. Szuwałow, który na stanowisku ambasadora rosyjskiego w Berlinie w znacznej mierze przyczynił się do zachowania pokojowego stosunku z ościennemi mocarstwami, w szczególności z Niemcami. Główną jego zasługą było utrzymanie zupełnego zaufania między Petersburgiem a Berlinem w chwili tworzenia się przymierza rosyjsko-francuskiego. W tym kierunku zdziałał wiele Szuwałow i w latach następnych, zwłaszcza gdy groził wybuch ponownej wojny między Niemcami a Francyą, której swoją interwencyą zapobiegł.

Urodzony w roku 1830 z zasłużonej w Rosyi rodziny magnackiej, początkowo poświęcił się karyerze wojskowej, która mu przyniosła pierwsze odznaczenia. Jako adjutant cesarza Mikołaja I brał czynny udział w wojnie krymskiej, zdobywając sobie powszechne pochwały za swe niezwykłe męstwo. Równą odwagą odznaczył się i w wojnie tureckiej, w uznaniu czego Aleksander II mianował go jenerałem adjutantem, obdarzył najwyższą oznaką wojskową rosyjską, orderem Grzegorza i podarował mu szablę wysadzaną brylantami.

Z urzędu naczelnego dowódcy wojsk petersburskiego okręgu wojskowego został następnie powołany hr. Szuwałow w 1885 r. na stanowisko ambasadora rosyjskiego w Berlinie, gdzie przebywał lat dziesięć, zdobywając sobie takie uznanie Wilhelma II, iż cesarz niemiecki chciał go nawet odwiedzić w Warszawie, gdy hr. Szuwałow został warszawskim generał-gubernatorem. Przez jakiś czas chodziły nawet pogłoski, iż Wilhelm II, zachowując najściślejsze incognito, był na obiedzie na zamku warszawskim.

Po raz pierwszy z ludnością polską zetknął się hr. Szuwałow w roku 1863. Na generał gubernatorstwie warszawskiem pozostał krótki tylko czas, po dwóch bowiem latach urzędowania, od 1894 do 1897, podczas którego zdołał już sobie pozyskać pewne sympatye w kraju, dotknięty paraliżem musiał się usunąć w zacisze życia domowego. Zmarł w Jałcie na Krymie w siedmdziesiątym ósmym roku życia.



Aparatem red. W. Lis.
Jeszcze o Muzeum Narodowem: Zabytki sztuki kościelnej.

„Niebieski ptak“ w Warszawie.

W Warszawie niemałą sensacyę wywołała przed kilku dniami pogłoska o aresztowaniu w hotelu Bristol b. posła do drugiej Dumy, Kuli Mirzy Ceritellego, który oskarżony o należenie do spisku wojskowego, uciekł zagranicę. Po bliższem sprawdzeniu pogłosek okazało się, iż istotnie został aresztowany osobnik, poszukiwany przez policyę, nie jest on jednak b. posłem, lecz międzynarodowym oszustem, podającym się za księcia Kuli Mirzę Ceritellego. Oszust ten z niezwykłą zręcznością dokonywał szantażów na łatwowiernych w całej Europie. W Warszawie, pomimo krótkiego stosunkowo pobytu, zdołał już wyłudzić od rozmaitych osobistości 4000 rb.

Mniemany książe operował przy pomocy czterech sekretarzy, znanych powszechnie w Warszawie jako „niebieskie ptaki“. Jeszcze przed przybyciem „księcia“ rozpuścili oni pogłoskę, iż wkrótce zjedzie niezmiernie bogaty Pers, który wybrał się w podróż dookoła świata. W ten sposób w kołach kabaretowo-karcianych zostało przygotowane przyjęcie dla „księcia“, który w istocie zjawił się wkrótce, zwracając na siebie uwagę wielką rozrzutnością. O majątku jego kursowały nieprawdopodobne wieści, które wszyscy przyjmowali za prawdę, zwłaszcza iż niedowierzającym okazywali „sekretarze“ egzotycznego gościa kwity pocztowe, opiewające na wielkie sumy, wysyłane przez Kuli Mirzę do Władywostoku i Nagasaki. Książe zaś urządzał się bardzo prosto, wysyłał bowiem najzwyklejsze posyłki bezwartościowe, oceniając je



Aparatem redakc. W. Lis.
Jeszcze o Muzeum Narodowem: Dział etnograficzny w parterowej sali.



»Niebieski ptak« w Warszawie: Kuli Mirza Ceritelli

jednak na znaczne sumy; w ten sposób otrzymywał urzędowe potwierdzenia swych rzekomych bogactw, któremi mógł łudzić łatwowiernych.

Operacye „księcia“ zataczały coraz szersze kręgi, gdy naraz finansiści, którzy mu poprzednio po-



Krwawa tragedya w Warszawie. Pozostały przy życiu 12 letni Miziarski.

życzali pieniędzy, stwierdzili, iż padli ofiarą oszustwa. Wmieszała się w sprawę tę policya i oto wyszło na jaw, iż „książe“ jest kryminalistą recydywistą, pozbawionym praw stanu, który jako urzędnik pocztowy dopuścił się w kasie najrozmaitszych malwersacyi.

Krwawa tragedya w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Niesłychanie krwawa i do głębi wstrząsająca tragedya rodzinna rozegrała się w ubiegłym tygodniu w jednej z czynszowych kamienic na Powiślu w Warszawie, przy ulicy Browarnej l. 20. Przyczyny tej tragedyi szukać należy chyba tylko w szale obłędu, jaki owładnął umysłem młodego, 20-letniego człowieka, włożył w jego rękę browning i popchnął do kilku mordów, a wkońcu do samobójstwa.

W wspomnianej kamienicy mieszkał od dłuższego już czasu kelner Paweł Miziarski, z drugą swą, znacznie od siebie młodszą żoną Maryanną, oraz sześciorgiem dzieci, z czego dwoje pochodziło z pierwszego jego małżeństwa. W domu panowała przeważnie nędza, Miziarski bowiem często był bez posady, utrzymanie zaś licznej rodziny pociągało za sobą duże wydatki. Atmosfera, jaka skutkiem nędzy wywiązała się w domu Miziarskich, a przedewszystkiem fakt, iż ojciec z dwoma synami, 13 i 12-letnim, począł się trudnić zawodowo bandytyzmem, skłonił najstarszego syna, Romana, iż wyprowadził się z domu i zamieszkał w sąsiedztwie. Był to wedle powszechnej opinii chłopak pracowity i uczciwy, który też z powodu moralnego upadku ojca i rodzeństwa, szczerze i serdecznie cierpiał.

W czasie świąt Wielkanocnych Roman Miziarski przyszedł w odwiedziny do swej rodziny w zamiarze pojednania się i skierowania wszystkich na jakąś lepszą, uczciwszą drogę. Gdy jednak zaczął w tym duchu przemawiać, pijany ojciec wraz z żoną i młodszemi dziećmi rzucili się na niego i ciężko poranili. Wówczas to Roman, nie mogąc znieść dłużej takich stosunków, poprzysiągł zemstę całej rodzinie i zemstę tę w kilka dni później pod wpływem silnego zdenerwowania i affektacyi wykonał.

W nocy na piątek ubiegły dostał się Roman do mieszkania Miziarskich, które mu ojciec na skutek energicznego dobijania się otworzył. Roman nic nie mówiąc, wszedł z rewolwerem w ręce, mierząc lufę ku piersi starego. Na widok broni stary Miziarski się odwrócił. Padł strzał, a ugodzony w plecy Miziarski runął na podłogę. Na odgłos strzału skoczyła z łóżka Miziarska, lecz zaledwie zdołała uczynić kilka kroków, rozległ się nowy strzał, który powalił ją na podłogę. Oszalały na widok krwi i drgających w przedśmiertnych kurczach rodziców, Roman strzelał dalej tak długo, dopóki nie brakło mu ładunków. Później zatrzasnął drzwiami i jak ścigany furjami zbiegł.

Straszny przedstawił się widok oczom sąsiadów, gdy na odgłos strzałów wpadli w chwilę potem do mieszkania Miziarskich.

Na środku pokoju, wśród kałuży krwi, leżała Miziarska, macocha zabójcy. Na łóżku przy ścianie, również w kałuży krwi i bez znaku życia leżała 17-letnia siostra Jadwiga Miziarska, na tapczanie obok pieca, z ociekającą krwią głową, leżał 11-letni Wacław Mi-



Krwawa tragedya w Warszawie: Roman Miziarski, zabójca i samobójca.

ziarski. Przybyły na miejsce lekarz Pogotowia stwierdził śmierć 26-letniej Maryanny Miziarskiej, oraz śmierć 17-letniej Jadwigi Miziarskiej, a ciężkie poranienia Wacława i ojca. Wacław zmarł wnet potem w szpitalu, najlżejszą stosunkowo i nie grożącą życiu ranę otrzymał stary Miziarski.

Policya rozpoczęła natychmiast poszukiwania za zbiegłym zabójcą. Ten jednak uprzedził aresztowanie i sam sobie życie odebrał celnym strza-



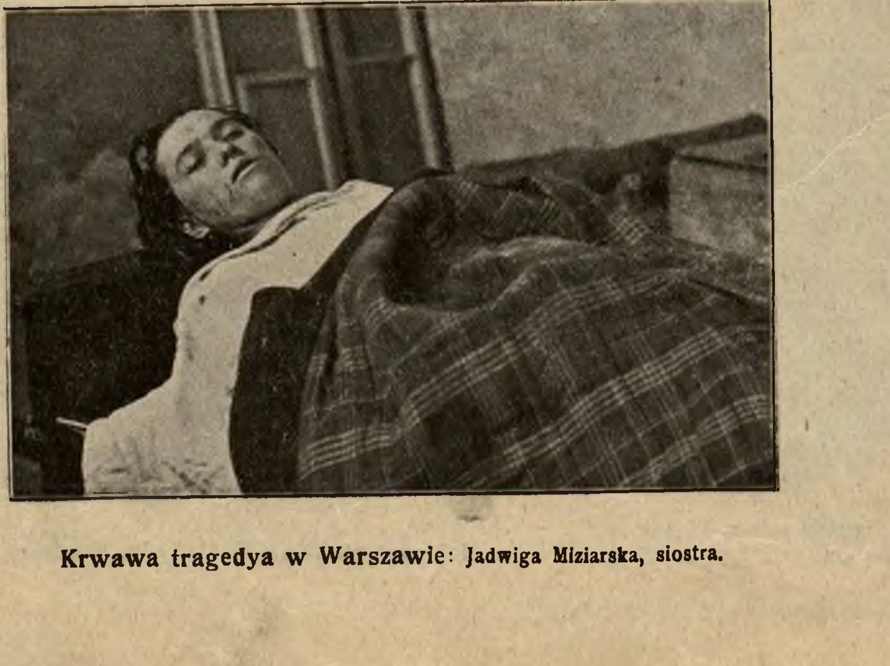
Krwawa tragedya w Warszawie: Czworo najmłodszych, pozostałych przy życiu, dzieci Miziarskich.

łem z tego samego browninga. Uczynił to w chwili, gdy pościg policyi miał go dosięgnąć. Wpadł mianowicie nieszczęsny szaleniec, po nocy spędzonej na strychu domu, w którym mieszkał, do sąsiedniej kamienicy, kiedy zaś ujrzał, iż ajenci policyjni go ścigają, odebrał sobie życie.

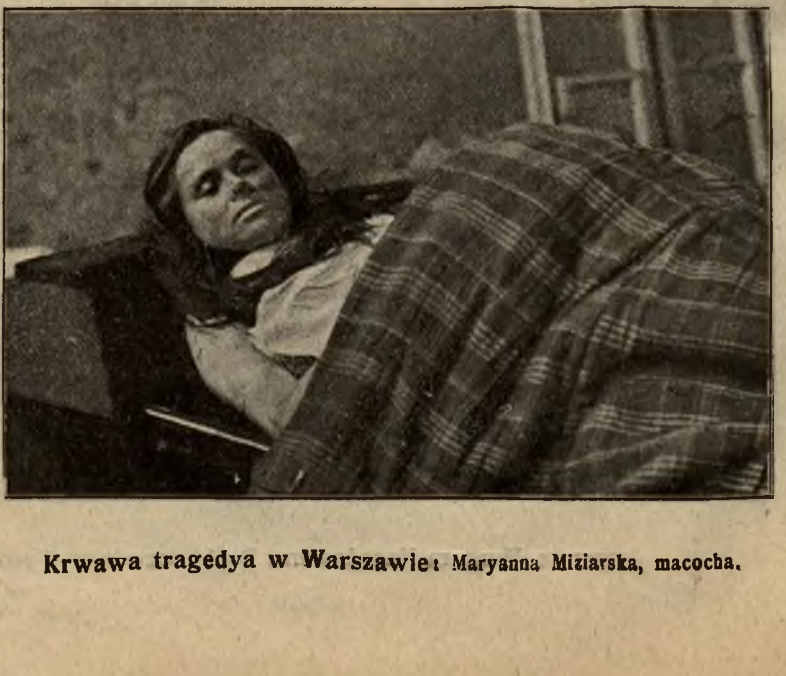
Straszna ta, niepamiętnie krwawa tragedya rodzinna wywarła w całej Warszawie olbrzymie wrażenie. Zanim dowiedziano się o właściwych przyczynach okropnego mordu, krążyły na ten temat najrozmaitsze pogłoski. Dopiero dokładne wyjaśnienie sprawy położyło kres tym wieściom.

* * *

Krwawej tragedyi warszawskiej poświęcamy w dzisiejszym numerze rycinę tytułową, przedstawiającą chwilę, gdy Roman Miziarski wpada do mieszkania ojca i wystrzałami z browninga morduje swą rodzinę, a nadto zamieszczamy szereg zdjęć fotograficznych, przedstawiających bohatera i ofiary tragedyi.



Krwawa tragedya w Warszawie: Jadwiga Miziarska, siostra.



Krwawa tragedya w Warszawie: Maryanna Miziarska, macocha.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

24

Godząc się już na Trawecką, myślał z pewną przyjemnością, że swe słuszne pretensye odemści ostatecznie na Stańskim. Ten, jako podwładny zostanie ukarany, no i nie odmówi mu inspektor tego zadośćuczynienia, ażeby go nie przeniósł w zapadły kąt.

Czekał wiadomości z dyrekcyi, przez cały dzień nie przyszła, tylko jeden z kontrolorów uwiadomił go w przejeździe, że jest życzeniem dyrektora, ażeby służba kolejowa i urzędnicy głosowali i agitowali za hrabią Mirskim, jako kandydatem rządowym na posła.

— Jakżeż to zrobię? — spytał zafrasowany.

— To do mnie nie należy... Pan dyrektor osobiście mnie wezwał i dał mi to polecenie do pana.

— Hm... a jak nie zechcą?

— Opozycyonistów straszy się, niepozwala na wiece... zresztą dodał dyrektor, ażeby pan przez Lerchego dał listę podejrzanych... Spełniłem, co mi polecono — pożegnał się i odjechał.

— A bodaj was — zaklął naczelnik, a spotkawszy Chrustowskiego, rzekł: — Pan zna się z urzędnikami fabrycznymi; co mówią o wyborach?

— Jest dwóch kandydatów, hrabia Mirski i Dyrkowski, majster fabryczny, ten ostatni radykał i robotnicy są za nim... ale ostatecznie liczę, że służba kolejowa pójdzie za Mirskim i jego wybór zapewniony.

— A nie wie pan, co zamyśla nasza służba? urzędnicy?

— Tego nie wiem, dużo zależy od agitacyi... zresztą zobaczymy w sobotę — wskazał na afisz.

— Pan będzie tam?

— Mam służbę.

— Prawda... dziękuję za informacye.

W piątek w czasie służby Janki, przyszedł w chwili wolnej Stański do kasy i oboje wyszli na peron.

— Co myślicie zrobić z jutrzejszym wiecem?— spytał Stański.

— Będę naturalnie, a wiecie bliższe szczegóły?

— Podobno będzie silna agitacya, a hrabia ofiaruje pewną sumę na przyrządy, odstępuje ziemię na boisko, chce zostać honorowym prezesem.

— Słyszałam już o tem. Najpierw pójdę do Dyrkowskiego rano — mówiła Janina — trochę kolejarzy już namówiłam do przybycia na wiec.

— To dobrze... postaram się również i byłoby dogodniej, ażeby kobiety przyszły, one są podatniejsze i nie boją się przełożonych. W tym celu chciałem pomówić z wami.

— Szkoda, że dziś mam służbę — westchnęła Janka — ale jutro wynagrodzę czas stracony.

Umówili się następnie, gdzie i kiedy porozumieją się w tej sprawie i rozeszli się.

Naczelnik dowiedziawszy się, że wiec ów zwołują stronnicy hrabiego, nietylko zachęcał służbę do wzięcia udziału, ale polecił swym zaufanym, ażeby namawiali innych i sami stawili się na wiecu.

Zaledwie Janka wróciła rano, po zdaniu kasy do domu, umyła się i ubrała szybko. Wyszła i skierowała się do fabryki Gunthera i Spichala, chcąc się zobaczyć z Dyrkowskim, majstrem fabrycznym.

Portyer stojący u bramy, uwiadomił Jankę, że Dyrkowski po nocnej służbie ma dzień wolny, prawdopodobnie jest u siebie i wskazał jej mieszkanie.

Weszła do koszarowej kamienicy fabrycznej przeznaczonej dla oficyalistów i robotników.

Zapukała do wskazanych drzwi, które otworzyła jej ośmioletnia szatynka, z mądremi oczyma.

— Czy tu mieszka pan Dyrkowski?

— Tatuś je śniadanie — i zostawiając drzwi otwarte, pobiegła do pokoju, wołając: — tatusiu! przyszła jakaś pani.

Po chwili zjawił się szpakowaty brunet, ze świeżą, opaloną twarzą, spojrzał bacznie i rzekł bardzo uprzejmie:

— Proszę panią wejść... czem mogę służyć?

Pokój był skromnie, ale gustownie umeblowany, a największą ozdobą jego, była szafka biblioteczna, napełniona książkami.

Usiadła na wskazanem krześle i chociaż miała ułożoną rozmowę, czuła się skrępowaną. Dopiero po chwili zaczęła nieśmiałym głosem:

— Jestem Trawecka, kasyerka kolejowa... jeden z towarzyszy objaśnił mnie, że waszą kandydaturę należy popierać... przyszłam ofiarować wam moją pomoc.

Patrzał na nią zdziwiony, obejrzał ją od stóp do głowy i rzekł tonem serdecznym:

— Oczywista rzecz, że pomoc pani przyjmuję bardzo chętnie... Wśród robotników mam dosyć przyjaciół, ale nie jestem pewny kolejarzy. Oni są bardziej zależni od rozmaitych urzędników i przełożonych, agitacya wśród nich jest utrudniona.

— Więc postaram się... będę agitowała, może mi się uda...

— Bardzo dziękuję. Wiem że pani nie robi tego dla mnie, lecz dla zasad, które wyznaję. W każdym razie przyjemnie spotkać kogoś z inteligencyi, nie wahającego się iść razem z ludem i robotnikami.

— O, takich znajdzie się więcej — powiedziała Janka pewnym głosem.

— Pozwolę sobie wątpić — uśmiechnął się — zresztą dziś pierwszy wiec, zwołany przez inteligencyę, przekona się pani, jak lgną do hrabiego — uśmiechnął się.

— Czy pan będzie przemawiał?

— O ile dopuszczą mnie do głosu. Spodziewam się jednak, że pozwolą mi mówić.

— Czy niema pan swej odezwy do wyborców drukowanej? Wyznania politycznego?

— A na cóż to pani?

— Żeby rozdawać, zachęcać...

— Sam jestem za ubogi na takie wydatki, ale pisano mi, że komitet partyjny przyśle dziś odezwę.

— Prosiłabym o zatrzymanie dla mnie trochę egzemplarzy.

— Dobrze... a swoją drogą niech pani będzie ostrożna w agitacyi, pani narazi i siebie i ludzi, gdyż wiem o tem, że dyrekcya kolejowa popiera hrabiego i pewno przyjedzie inspektor Lerche, ażeby przypilnować kolejarzy.

Na wzmiankę o inspektorze Janka mimowolnie się zarumieniła i spytała z niedowierzaniem:

— Inspektor Lerche? Czy pan pewny tego?

— Nominacyi jego nie czytałem — zaśmiał się — ale jest bardzo prawdopodobne, że on jako prawa ręka dyrektora zostanie delegowany. Ostrzegano mnie, że będzie wpływał na właścicieli fabryki, a ci, mając rozliczne interesa z koleją, będąc obcymi przybyszami w naszym kraju, staną naturalnie po stronie konserwatywnego kandydata, i będą nakłaniali robotników w tym duchu.

— Jak widzę — odezwała się Janka — walka wyborcza będzie ciężka dla pana.

— Zwycięstwa nie spodziewam się — uśmiechnął się — ale policzymy się i zróżniczkujemy... A pani będzie na wiecu?

— Będę.

— W takim razie zobaczymy się i jeśli przyślą odezwę, wręczę je pani.

W dalszej rozmowie dowiedziała się Janka, że robotnicy ze związków zawodowych będą głosowali solidarnie i gdyby kolejarze połączyli się z nimi, w okręgu Horynia przepadłby kandydat konserwatywny.

Janka wyszła od Dyrkowskiego trochę rozczarowana; spodziewała się, że on wskaże jej sposób wzięcia bezpośredniego udziału w tej walce, że wprowadzi ją pomiędzy robotników, że posłyszy hasła proletaryatu, zobaczy groźną postawę wobec fabrykantów i kapitalistów, a tymczasem cały jej udział ogranicza się do agitacyi wśród kolejarzy.

W powrotnej drodze spotkała się ze Stańskim, a po przywitaniu spytała:

— Nie wiecie, czy Dyrkowski należy do naszych?

— O ile wiem, on nie jest socyalistą, lecz radykalnym ludowcem, jednak nasi popierają go gorąco i związki fachowe przyjęły go, jako swego kandydata. Byliście u niego?

— Byłam i nie żałuję tego. Idzie głównie o agitację między kolejarzami.

— Wprawdzie to niebezpieczne — rzekł Stański — ale konieczne. Kolejarze toną w zależności i obawie przed przełożonymi. Trzeba w nich obudzić samodzielność.

— Tak, macie słuszność — mówiła zamyślona Janka, układając w myśli plan działania.

— Ale, nie wiecie nowiny? — zaśmiał się Stański.

— Jakiej?

— Cud się stał na kolei, a zwłaszcza u nas. Dziś przyszło rozporządzenie z dyrekcyi w sprawie opóźnienia. Zamiast spodziewanej kary, otrzymałem zwykłe upomnienie i mam się poddać egzaminowi, na który zjedzie inspektor. Naczelnik sapie i klnie z gniewu. Jakim cudem Lerche postąpił ze mną wbrew swej praktyce i ustalonej opinii, tego nie rozumiem.

Janka mogłaby coś o tem powiedzieć, ale milczała i dopiero po chwili spytała:

— Czy jesteście zadowoleni z wyniku dochodzenia?

— Naturalnie — uśmiechnął się — byłem pewny kary i prawdopodobnie przeniesienia.

— Nie macie wiadomości od Wapieńskiego?

— Od niego nie mam, ale otrzymałem zawiadomienie, że jutro ktoś z pociągu osobowego wręczy mi paczkę i naturalnie złożę ją w mieszkaniu waszem.

— To było umówione — powiedziała spokojnie — pomiędzy pierwszą a trzecią będę u siebie, przyszlijcie.

— Zgoda — wtem wzrok jego padł na świeżo naklejone ogłoszenie; wskazał je Jance i oboje podeszli. Było to wezwanie, podpisane przez komitet wyborczy, do popierania kandydatury hr. Mirskiego.

— Zaczyna się walka — mruknął Stański — ale są niezręczni, bo przed wiecem odsłaniają przyłbicę.

Janka ze zmarszczką na jasnem czole czytała odezwę. Wzywano w niej wyborców do popierania kandydatury w imię religii, ojczyzny i tradycyi, których jedynym przedstawicielem jest hrabia Mirski.

— Ogłoszenie dość banalne, ale jaskrawe — zauważyła Janka z uśmiechem ironicznym.

— Zrobi jednak wrażenie — dodał Stański, odczytując powtórnie afisz.

— Szkoda, że Dyrkowski nie dostał odezwy wyborczej — westchnęła Janka — możnaby przeciwstawić.

— Przypuszczam, że zrobi to on sam na wiecu — dodał Stański.

— Może... i bywajcie, bo spieszę się do moich kolejarzy.

— Do widzenia... na wiecu.

. . . .

W oznaczonej godzinie, w wielkiej hali fabrycznej zgromadziali się zwolna robotnicy i kolejarze z Horyni. Gospodarzem, który wszędzie się uwijał i pilnował porządku, był adwokat Kamerski.

Robotnicy zajęli lewą stronę, zaś urzędnicy fabryczni i większość kolejarzy prawą. Trawecka, Stański i zaznajomiona z nimi służba kolejowa, stanęli w środku.

Wiec zagaił Kamerski i nawiązując do frazesu: „w zdrowem ciele, zdrowa dusza“, zachęcał zebranych do założenia towarzystwa „Sokół“, któreby służyło młodzieży obojga płci nietylko jako miejsce ćwiczeń ciała, ale i kształcenia ducha przez odczyty i koncerty, a dla starszych byłoby punktem zbornym, gdzie prócz odczytania gazet możnaby się naradzić, wyszczególnić, co jest dobrego, zganić zły lub szkodliwy czyn, jednem słowem stworzyć opinię publiczną. Uznając tę naglącą potrzebę, hrabia Mirski ofiarowuje plac na budynek i boisko, a prócz tego pięćset koron na początek.

Adwokat wyraził nadzieję, że panowie fabrykanci, zachęceni przykładem hrabiego, przyczynią się również do wzniesienia potrzebnego budynku.

Odezwały się dość liczne brawa, a wzmogły się, gdy fabrykant Spichal w imieniu swojem i trzech innych fabryk, ofiarował jednorazową, bezzwrotną zapomogę w sumie dwóch tysięcy koron. Po krótkiej dyskusyi uchwalono wybrać wydział, któryby się zajął ściągnięciem ofiarowanych sum, objęciem placu i urzeczywistnieniem całego projektu. Listę wydziałowych miał już Kamerski gotową i rozdano ją zebranym, wzywając do głosowania.

Przeciw liście tak sfabrykowanej wystąpił Dyrkowski, żądając dyskusyi nad wyborem wydziałowych, którzy w myśl statutów obieralni są na przeciąg roku. Wniosek ten przyjęto większością głosów robotników i już teraz zgromadzenie podzieliło się na dwa stronnictwa, jedno popierające narzuconą listę, drugie jej przeciwne.

W czasie rozpraw zgłosiła się Janka do głosu ku wielkiemu zdziwieniu zgromadzonych, którzy natychmiast się uciszyli.

Głosem na razie chwiejnym, później spokojnym i równym zażądała ona, ażeby do wydziału został wybrany kolejarz, co zjednało jej gorące oklaski kolejarzy, a następnie, ażeby nie pominięto przy

wyborach kobiet, gdyż „Sokół“ ma służyć i dla dziewcząt.

Dyrkowski poparł gorąco jej wniosek i w czasie zarządzonej pauzy, ułożono nową listę wydziałowych, przeważnie stronników Dyrkowskiego, a na liście tej umieszczono Jankę i Stańskiego.

Dzięki zręczności adwokata przyszło do skombinowanej listy i do wydziału weszło pięciu stronników hrabiego, pięciu zwolenników Dyrkowskiego, wreszcie Stański i Janka, na których lojalność i prawomyślność liczył Kamerski. Po wyborze złożył adwokat wydziałowi akt darowizny placu i zobowiązanie do wypłaty pięciuset koron. Za jego przykładem poszli i fabrykanci.

Zdawało się zgromadzonym, że zwołany wiec spełnił swe zadanie, a ci i owi opuszczali już halę, gdy zabrał głos adwokat Kamerski i wskazując na świeży czyn obywatelski hrabiego, wezwał zgromadzenie do uznania hrabiego kandydatem na posła, zachwalając jego hojność i troskliwość.

Na wiecu zawrzało jak w ulu. Kolejno zabierali głos, to zwolennicy hrabiego, którym nie szczędzili oklasków adwokat, fabrykanci i znaczna większość urzędników, czyli tak zwana inteligencya; to znów przemawiali przeciwnicy wyboru hrabiego, słuchani spokojnie przez adwokata, a z oznakami niezadowolenia i lekceważenia przez inteligencyę. Sprawa ważyła się, adwokat postanowił jednak odnieść zwycięstwo moralne przez uznanie kandydatury hrabiego i obliczał przypuszczalną ilość głosów.

Według jego obliczenia, inteligencya, część zależnych robotników i kolejarze przeważali nad głosami zwolenników Dyrkowskiego. Szło teraz o to, ażeby przeciwnik hrabiego nie przyciągnął na swą stronę kolejarzy i już miał postawić wniosek o przystąpienie do głosowania, gdy Janka zażądała głosu. Kamerski uśmiechnął się z wielkiego zadowolenia, i on i zwolennicy hrabiego gotowali się do oklasków. Wśród ogólnej ciszy zaczęła Janka:

— Pomysł założenia gniazda „Sokoła“, wzniesienia budynku, w którego salach można się naradzić i zorganizować obronę praw naszych, zasługuje na zupełne uznanie i wdzięczność, tak nas starszych, jak i młodzieży...

— Tak! Tak!... Bardzo dobrze!— zamruczała prawica, gdy znów zwolennicy Dyrkowskiego słuchali chmurnie.

Sam Dyrkowski, stojący opodal, uśmiechał się drwiąco i z lekceważeniem, a na wyrazistej jego twarzy można było wyczytać złośliwą myśl, że skoro Trawecką wybrano do wydziału, już przeszła do stronnictwa hrabiego i mimowolnie szepnął dość głośno:

— Oportunistka!

Stański patrzał na Jankę bardzo zaniepokojony i widocznem było, że nie spodziewał się takiego obrotu.

— Bardzo też słusznie — mówiła Janka — podniósł zasługę pana hrabiego Mirskiego i panów fabrykantów obecny tu pan adwokat Kamerski, i godzę się najzupełniej na jego zdanie, że „w zdrowem ciele, zdrowa dusza“. I my wszyscy, tu zebrani, uznajemy potrzebę zdrowia ciała i zdrowia duszy. Tymczasem wniosek pana Kamerskiego, ażebyśmy hrabiego Mirskiego uznali naszym kandydatem, wypaczył zupełnie pierwotną, zacną myśl, gdyż przez przyjęcie tego wniosku dojdziemy do zasady, że „w zdrowem ciele, przemieszkuje zdrowe cielę“.

Wśród zgromadzonych rozległy się śmiechy. Dyrkowski rozjaśnił się, a Stański swobodnie odetchnął. Natomiast Kamerski spochmurniał i spojrzał niespokojnie w stronę kolejarzy.

— Bo i czegóż żąda od nas pan adwokat — prawiła Janka swobodnie — oto, abyśmy jako cielęta kiwnęli głowami, pobiegli za krowami i słuchali pokornie pastucha. To bardzo dawne dzieje, gdy Ezaw sprzedawał swe prawa za miskę soczewicy, dziś to się nie uda, a Jakób kupujący siadłby na ławie oskarżonych za taki dowcip.

Sala zatrzęsła się od oklasków, zwłaszcza kolejarze bili brawo, dumni z tego przemówienia. Gdy się uciszono, mówiła Janka:

— Jeśli pan hrabia i fabrykanci dają nam okruszyny ze swego majątku, my to przyjmujemy nie jako jałmużnę, ale jako zadatek za przynależną nam część kapitału, który prędzej czy później zostanie nam, pracownikom oddany.

Drwiące śmiechy rozległy się na prawicy, co wcale nie zmieszało Janki.

— Nie wiem jak inni robotnicy, ale my, kolerze, nie sprzedamy się i nasze głosy nie są do kupienia. Pracujemy ciężko, odpowiadamy za życie tysiąca podróżnych, za majątki wasze panowie fabrykanci i kapitaliści, gdyby nas nie stało, nas pracujących, stalibyście bezradni, bezczynni, zgnębieni i zniszczeni. Więc mamy prawo, ażeby nas traktowano jako ludzi wolnych, niezależnych, równych wszystkim i nikt, ale to nikt niema prawa narzucać nam swych przekonań politycznych czy społecznych, a cóż dopiero kandydatów, którzy całe swe życie spędzili bez pracy w swoich pałacach. Czy zgadzacie się ze mną kolejarze?



— Jestem Trawecka, kasyerka kolejowa....

Grzmot oklasków był odpowiedzią, a Janka zarumieniona ze wzruszenia dziękowała przyjemnym uśmiechem oklaskującym ją pracownikom.

Zachęcony jej przykładem wystąpił i Stański z mową, nawiązując ją do ostatniego frazesu o życiu wygodnem i bez pracy kandydatów bogatych i utytułowanych. W imieniu kolejarzy żądał, ażeby przyszły poseł sam przeszedł ciężkie walki o życie, bo tylko taki zrozumie potrzeby milionów pracujących.

Mowę tę przywitali i kolejarze i robotnicy oklaskami.

Kamerski patrzał zły i gniewny na zgromadzenie; zamiast spodziewanego tryumfu, klęska hrabiego była pewna. Na to nie mógł pozwolić wytrawny adwokat, zbliżył się więc do przewodniczącego i zażądał rozwiązania wiecu ze względu, iż cel jego, a mianowicie założenie towarzystwa, został już osiągnięty.

Przewodniczący usłuchał i mimo żywych protestów uznał wiec za skończony.

Jankę i Stańskiego odprowadzili kolejarze do domu, omawiając po drodze sprawę kandydatów bardzo żywo i gorąco.

Idących spotkał jadący powozem fabrycznym adwokat Kamerski, najpierw spojrzał dumnie i lekceważąco na Jankę i Stańskiego, następnie odwrócił się rozmyślnie i wszczął głośną i wesołą rozmowę z fabrykantem, towarzyszącym mu w powozie.

Gdy wyszedł na peron dworca, spotkał się z naczelnikiem, który znając adwokata pospieszył z przywitaniem i spytał z uśmiechem wielkiego zadowolenia:

— Cóż na wiecu? Nasz kandydat zwyciężył, bo też moi kolejarze otrzymali stosowną instrukcyę — i serdecznie ściskał podaną rękę; widząc jednak, że Kamerski zachowuje się zimno, dodał: —Cóż, panie mecenasie, zadowolony pan z wiecu?

— Gdyby nie pańscy kolejarze i pańscy podwładni urzędnicy, przebieg wiecu byłby był spokojny, nie taki rozczochrany i krzykliwy.

— Pan mecenas chyba żartuje — usiłował się uśmiechnąć naczelnik — to niemożliwe... albo też nie byli to kolejarze.

— Spytaj się pan — wskazał adwokat na stojącego obok fabrykanta, niskiego, dość otyłego człowieka ze szpakowatymi faworytami.

— No, tak, panie naczelniku — przemówił fabrykant cudzoziemskim akcentem—kolejarze podnieśli gwałt i krzyk na pana hrabiego, naszego kandydata.

— Szkoda, że pana nie było? — uśmiechnął się drwiąco adwokat — dopiero poznałby pan, jakie to ziółka wyrosły w Horyni, pod bokiem pana. A tak mnie pan zapewniał o lojalności kolejarzy —kończył z wymówką w głosie.

— Bo sam byłem pewny — odezwał się chmurny naczelnik, przeczuwając znów niezadowolenie dyrekcyi — i jak się ci nazywają?

— Tego nie wiem — powiedział fabrykant obojętnie.

— Pierwsza rzuciła się na hrabiego i na mnie — rzekł adwokat— jakaś zwaryowana socyalistka, Trawecka, a wtórował jej Stański, urzędnik ze stacyi.

— I tych dwoje zdołało udaremnić zabiegi pana mecenasa? — spytał niedowierzająco naczelnik.

— Tych dwoje i cały tłum bezmyślnych kolejarzy — rzekł zgryźliwie adwokat — ale już ja znajdę drogę do dyrekcyi.

— Bardzo słusznie — zawołał naczelnik — takie zachowanie nie może ujść bezkarnie. Ja sam podam również raport, a że im dosolę, tego może być pan mecenas pewny.

Naczelnik nie bez wewnętrznego zadowolenia dowiedział się o skandalicznem zachowaniu się Janki i Stańskiego i w myśli tryumfował, bo nareszcie pozbędzie się tych dwojga, którzy jemu, żonie i córce zatruwają życie.

Adwokat uśmiechnął się łaskawie i serdeczniej pożegnał się z naczelnikiem przy wsiadaniu do wagonu.

XIV.

W kilka dni później inspektor Lerche przyjechał do Horyni i na widok Janki uśmiechnął się radośnie, lecz wnet spoważniał i zbliżywszy się do niej, rzekł uprzejmie, ale bez dawnej serdeczności:

— Chciałbym z panią pomówić w sprawie ważnej.

— Kiedyż nastąpi ta uroczysta audyencya?— uśmiechnęła się.

Lerche miał ochotę roześmiać się, ale przypomniał sobie sprawę, dla której tu przyjechał i mówił poważnie:

— Im prędzej, tem lepiej, gdyż dużo zależy od wyjaśnienia pani.

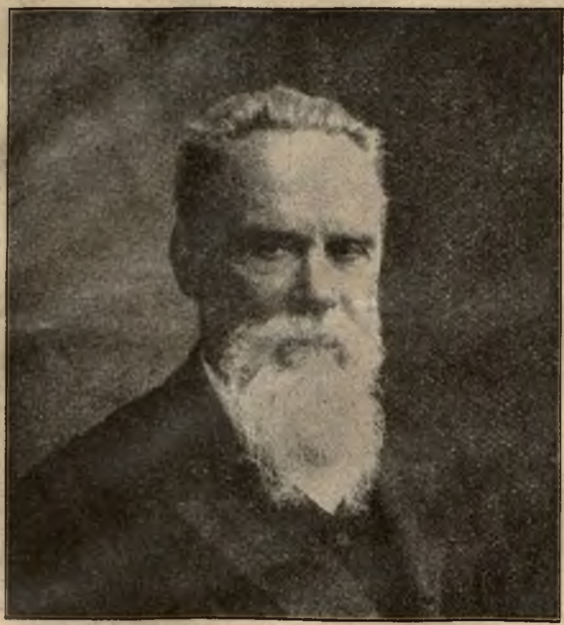
— Jeśli tak, więc mogę być natychmiast przesłuchana.

— Tu?... Wolałbym u pani, w mieszkaniu, bo rzecz nie da się skończyć w kilku słowach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nagła śmierć uczonego.

Duże wrażenie wywarła w Wiedniu nagła śmierć jednego z najsławniejszych lekarzy i profesorów uniwersytetu wiedeńskiego, Leopolda Schroettera



Nagła śmierć u zonego: Prof. dr. Leopold Schroetter.

von Kristelli, który zmarł tam przed kilku dniami wśród niezwykłych okoliczności.

Wieczorem w dzień zgonu prof. Schroetter przyjmował u siebie liczne grono lekarzy, przybyłych do Wiednia na zjazd laryngologów. Przez cały czas przyjęcia profesor nie tylko nie zdradzał żadnych objawów choroby, lecz nawet bawił się wesoło, podczas zaś uczty wzniósł pełen humoru toast. Zaledwie jednak rozeszli się goście, prof. Schroetter poczuł się nagle chorym, a w ciągu kilku następnych minut osłabł zupełnie, tak iż służący, który pomagał mu przy rozbieraniu się, złożył do łóżka prawie stygnące zwłoki.

Śmierć nastąpiła z powodu ataku sercowego. Z powodu zgonu prof. Schroettera uniwersytet wiedeński okrył się żałobą, zmarły bowiem stanowił jedną z największych jego powag, jako słynny laryngolog. Z wszystkich stron świata zjeżdżali się do Wiednia lekarze, aby choć krótki czas praktykować pod kierunkiem Schroettera. Cieszył się też niezwykłą wziętością w całym świecie, podczas zaś choroby cesarza niemieckiego Fryderyka III wzywany bywał do niego, do San Remo.

Prof. Schroetter zmarł w siedmdziesiątym pierwszym roku życia; urodził się 1847 roku w Gracu; był synem profesora wiedeńskiej politechniki.

Pożyteczna instytucya.

Staraniem grona osób, pragnących podniesienia poziomu gospodarstwa wiejskiego w naszym kraju, odbył się w Łączkach, w małej wiosce koło Frysztaka w pow. jasielskim, zimowy kurs dla gospodyń wiejskich. Drogą składek zebrano na cel założenia tej szkoły odpowiedni fundusz, wspomożony następnie subwencyą wydziału krajowego i jasielskiej rady powiatowej, co umożliwiło sprowadzenie z Tarnowa specyalnej nauczycielki kroju i szycia oraz wyposażenie kursu w potrzebne podręczniki i przyrządy.

Prócz szycia i kroju, uczono na kursie religii, historyi polskiej, rachunków, hygieny i gotowania, głównie zaś pouczano o zasadach racyonalnego gospodarstwa domowego. Uczenice, których zapisało się około dwudziestu, skorzystały na kursie bardzo wiele, nie szczędziły też wyrazów wdzięczności i uznania gronu inicyatorów oraz nauczycieli kursu. Po pięciomiesięcznej sumiennej pracy, nastąpiło przed kilku dniami uroczyste zamknięcie nauki, na które przybyło grono zaproszonych gości, mię-

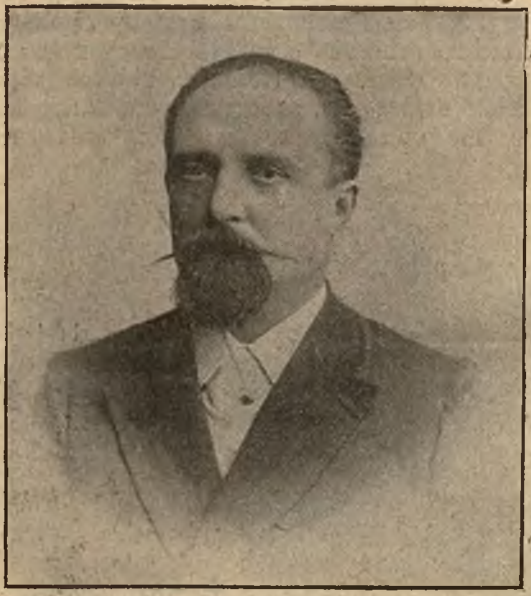


Powitanie państwa młodych: Ludność w Ormezö na Węgrzech wita uroczyście hr. Szechenylego i jego małżonkę Gladys Vanderbildtównę.



Pożyteczna instytucya: Uczenice kursu gospodarskiego, oraz uczestnicy uroczystości zakończenia nauki.

dzy nimi delegaci rozmaitych instytucyi i władz autonomicznych miejscowych i okolicznych. Zdjęcie grupy uczestników tej uroczystości zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Ustąpienie zasłużonego urzędnika: Dr. Jan Dylewski.



Wilhelm-Podróżnik: Arcybiskup grecki oczekuje w otoczeniu kleru przybycia cesarza niemieckiego na wyspę Korfu.

Powitanie państwa młodych.

Głośnym stał się na całym niemal świecie związek małżeński, zawarty przed paru tygodniami między hr. Władysławem Szechenyim a córką miliardera amerykańskiego Vanderbildta, panną Gladys.

To też kiedy młoda para przybyła po ślubie z Ameryki do posiadłości pana młodego na Węgrzech, ludność miejcowa wyruszyła tłumnie na powitanie dziedziców. W Örmező, gdzie właśnie państwo młodzi mają spędzić miodowe miesiące, dzień ten był wielce uroczystym. Piękna, równa droga, prowadząca do dworu, cała była przybrana chorągwiami, i festonami oraz herbami rodu Szechenyich. Ludność, przystrojona w malownicze stroje, ustawiła się szpalerami po obu stronach drogi i gdy pojawił się otwarty powóz, którym państwo młodzi jechali, wznosiła owacyjne okrzyki. W pobliżu dworu starszyzna wioski powitała dziedziców odpowiedniem przemówieniem, wyrażając radość z powodu przybycia państwa młodych.

Obok tych miłych i sympatycznych objawów przywiązania ze strony ludności wiejskiej, mieli państwo Szechenyi także i mniej miłe zajścia, które zmusiły ich aż do szukania pomocy u policyi. Mianowicie zaraz po przybyciu ich w granice Węgier, opadli młodą parę amatorowie-fotografowie i krążyli ich śladami nieustannie. Młodzi małżonkowie nie mogli się poprostu ruszyć z domu, by nie spotkać się w drodze z całym szeregiem przygotowanych do zdjęcia aparatów fotograficznych.

Drugą plagą byli petenci najrozmaitszego rodzaju, którzy nachodzili hr. Szechenyiego, dopraszając się zapomóg i datków pod najrozmaitszymi uzasadnionymi i nieuzasadnionymi pretekstami. Ten żądał stypendynm na kończenie nauk, ów subwencyi na opatentowanie wynalazku nadzwyczajnego, inny znowu datku na kuracyę itd. Wyobrażano sobie zapewne, że hr. Szechenyi, ożeniwszy się z najposażniejszą panną w świecie, otworzy swą kiesę i bedzie wszystkim zgłaszającym się rozdawał hojne zapomogi.

Zawiedli się w tej nadziei srogo, hr. Szechenyi bowiem przeznaczył tylko 500 koron dla najuboższych i prawdziwie potrzebujących.



Wilhelm-Podróżnik: Oficerowie »Hohenzollerna« witają króla greckiego Jerzego.

Ustąpienie zasłużonego urzędnika.

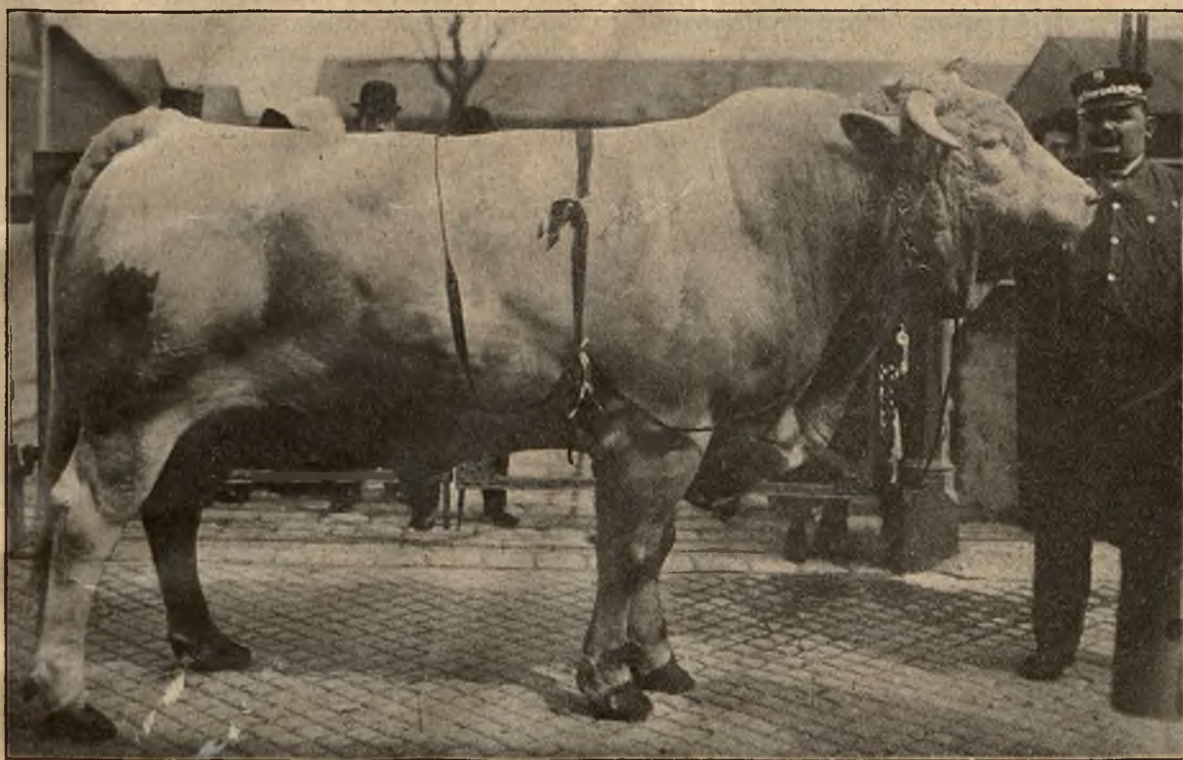
Po 40-tu latach służby zawodowej, ostatnio na stanowisku wiceprezydenta apelacyi we Lwowie, ustępuje w najbliższym czasie, przechodząc na emeryturę, dr. Jan Dylewski.

Dr. Dylewski należał do najsympatyczniejszych postaci w świecie urzędniczym Lwowa, umiał bowiem połączyć stanowisko urzędnika i obowiązki z tem stanowiskiem związane, z obowiązkami obywatela. Nie brakło go też nigdy tam, gdzie trzeba było i rady rozumnej, wytrawnej i czynu prawdziwie obywatelskiego. Zasiadał w radzie m. Lwowa, pracował w szeregu instytucyj obywatelskich, a jako prezes „Związku rodzicielskiego“ przyczynił się bardzo poważnie do znakomitego podniesienia tej sympatycznej i tak pożytecznej instytucyi. Uczynny i nadzwyczaj uprzejmy, zjednał sobie ogólne poważanie i sympatyę.



Wilhelm-Podróżnik: Król grecki Jerzy z arcyksiężną Zofią powraca po powitaniu cesarza Wilhelma do królewskiego pałacu.

Z okazyi zamierzonego przejścia w stały stan spoczynku, oraz przypadającego właśnie jubileuszu 40-letniej pracy w zawodzie sędziowskim, był wiceprezydent Dylewski przedmiotem gorącej i zasłużonej owacyi ze strony swych podwładnych; przemówienia, jakiemi ustępującego jubilata żegnali urzędnicy apelacyi lwowskiej, były wyrazem serdecznych uczuć żalu a zarazem przywiązania i miłości dla niego.



Wystawa rolnicza w Wiedniu: Byk, odznaczony I. nagrodą.

Wilhelm-Podróżnik.

Piękną, uroczą wyspę archipelagu Jońskiego, w starożytności znaną jako Korcyra a dziś Korfu, spotkał znowu nielada zaszczyt. Zamieszkał na niej celem kuracyi cesarz niemiecki Wilhelm II wraz z rodziną.

Wyspa Korfu cieszy się już od dawna specyalną protekcyą rodu Hohenzollernów i niejednokrotnie jego przedstawiciele, a także Wilhelm II, na niej gościli.

Oczywista rzecz, że obecny, na kilka tygodni obliczony pobyt Wilhelma II na pięknej wyspie, wywołał wśród jej mieszkańców, a przedewszystkiem wśród greckich władz bezpieczeństwa pewnego rodzaju zamieszanie, a obawa, by jacyś niepowołani intruzi nie wdarli się na wyspę i by nie zakłócili idyllicznego spokoju, nie pozwala im na spokojny sen. Z tego też powodu nie tylko wzmocniony oddział żandarmeryi krąży nieustannie w okolicy Achillejonu, pięknej do niedawna willi, byłej własności zmarłej cesarzowej austryackiej Elżbiety, obecnie pod osobistym kierunkiem i według „artystycznych" wskazówek Wilhelma zeszpeconej haniebnie, ale i oddział torpedowców greckich strzeże wybrzeży morskich, aby udaremnić wylądowanie niepożądanych gości.

Pod tak czujną i tak troskliwą opieką może więc Wilhelm II spokojnie przedsiębrać wycieczki po całej wyspie, urządzać śniadania reprezentacyjne, może przyjmować wizyty i słuchać mów powitalnych.

Urozmaicenie wśród jednostajnych zresztą dni pobytu Wilhelma Podróżnika na Korfu, stanowiła wizyta króla greckiego Jerzego, który uznał za grzeczny obowiązek, „dostojnego" gościa odwiedzić w jego chwilowem miejscu pobytu.

Innego rodzaju urozmaiceniem są wesołe wizytacye Wilhelma, który w charakterze admirała i znawcy spraw marynarskich odwiedza od czasu do czasu któryś z krążących koło wybrzeży wyspy okrętów greckich. Admirał-amator urządza też w czasie takich wizytacyi formalne przeglądy załogi i egzaminuje oficerów. A że każdy oficer rozumie się na tych sprawach lepiej niż cesarz niemiecki, więc odpowiedzi wypadają zadowalająco i Wilhelm II ma sposobność do wyrażenia łaskawych pochwał.



Nowa historya romantyczna: Arcyksiążę Józef Ferdynand, w mundurze pułkownika.



Wystawa rolnicza w Wiedniu: Grupa dziewcząt »Szwajcarek«, w oryginalnych hanackich strojach, wysłanych przez zarząd jednej z fabryk morawskich.

Podczas wielkiego tygodnia zachowywał cesarz ściśle przepisy kościelne i w czasie tym nie uczęszczał ani do teatru miejscowego ani na żadne widowiska. Duch jego oddany był rozmyślaniom wielkopostnym.



Aparatem redakcyjnym W. Lis.
Zawody w piłce nożnej: Antoni br. Wodzicki (X), prezes »Związku turystycznego«, na placu zabawy.

Wystawa rolnicza w Wiedniu.

W halach wiedeńskiej targowicy odbyła się w ubiegłym tygodniu wspaniała wystawa bydła tucznego, urządzona z inicyatywy austryackiego towarzystwa gospodarskiego. Celem wystawy było danie poglądu na rozwój rozmaitych ras i zachęta do ich hodowli, oraz zbliżenie wzajemne między producentami i konsumentami oraz wyrównanie różnic, jakie między nimi istnieją. Obszernie wyłuszczył te cele, w mowie podczas uroczystego otwarcia wystawy wygłoszonej, minister rolnictwa dr. Ebenhoch.

Wystawę wiedeńską obesłali właściciele gospodarstw wiejskich oraz przedsiębiorstw fabrycznych. Znalazły się tam prócz wspaniałych okazów bydła, jak wołów, byków, krów, owiec, cieląt i nierogacizny, także przyrządy rolnicze i maszyny wszelkiego rodzaju.

Wystawa miała ogromne powodzenie a zwiedzały ją w ciągu trwania prawdziwe tłumy publiczności, interesującej się rozwojem i hodowlą bydła oraz gospodarką rolniczą. Jury wystawowe przyznało wielu wystawcom za nadesłane okazy nagrody w formie medali i dyplomów.

Nowa historya romantyczna.

Pomiędzy rodami panujących w Europie zdobył sobie ród udzielnych do niedawna książąt toskańskich pewnego rodzaju szczególną sławę. Z dniach cesarz Franciszek Józef udzielił, na razie tylko sześciomiesięcznego, urlopu trzeciemu według starszeństwa dziecku arcyksięcia toskańskiego, arcyksięciu Józefowi Ferdynandowi, pułkownikowi 93 pułku piechoty, stacyonowanego w Ołomuńcu.

Urlop ten, na pozór zwykły, posiada jednak ważniejsze znaczenie, poprzedza bowiem zupełne wystąpienie arcyksięcia z armii i wyrzeczenie się piastowanych godności. Za pobudkę do tego kroku służy podobno to samo uczucie, które poprzednio już zniewoliło starsze rodzeństwo arcyksięcia do dezercyi z domu rodzinnego. Arcyksiążę Józef Ferdynand pokochał pewną osobę stanu nieszlacheckiego i pragnie ją poślubić, wskutek też tego usuwa się obecnie od godności, które mu stoją na



Aparatem red. W. Lis.
Zawody w piłce nożnej: Drużyna lwowska »Pogoń«. W pośrodku dr. Eugeniusz Piasecki.

więciorga dzieci zmarłego przed kilku miesiącami arcyksięcia toskańskiego Ferdynanda, już trzecie bierze dobrowolny rozbrat z domem, wyrzekając się wszelkich tytułów i związanych z nim zaszczytów.

Pierwszy wstąpił na tę drogę najstarszy syn, arcyksiążę Leopold Ferdynand, przyjmując imię Leopolda Wölflinga, następnie śladami jego poszła arcyksiężna Luiza Antonina, rodzona siostra, dziś rozgłośnej sławy pani Toselli, wreszcie w tych zawadzie do osiągnięcia celu. Kim jest owa wybrana serca arcyksięcia Józefa Ferdynanda, jeszcze w szerokich kołach niewiadomo. Zapewniają jednak osoby blisko arcyksięcia stojące, że jest to kobieta bardzo piękna i pełna zalet, a nie mająca tylko tytułu szlacheckiego.

Nowa ta romantyczna historya, której bohaterem jest trzeci potomek arcyksięcia toskańskiego, wywołała łatwo zrozumiałą sensacyę wśród świata arystokratycznego. Świat ten też z niezmiernem zaciekawieniem wyczekuje końca i rozwiązania romansu arcyksięcia.



Aparatem redakc. W. Lis.
Zawody w piłce nożnej: Drużyna krakowska, grupująca się w sekcyi sportowej kraj. Związku turystycznego.



Zgon byłego generał gubernatora Warszawy: Hr. Paweł Szuwałow.

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

6 Ciąg dalszy.

Elwira skinęła głową, wyszła do przyległego saloniku i zaczęła grać jakiegoś fantastycznego marsza. Z pod klawiszów dobywały się ostre, burzliwe, chaotyczne akordy. Była to muzyka gniewu, czy szału, muzyka improwizowana, natchniona niezadowoleniem duszy, czy walką jakąś wewnętrzną. Snovard okazał wielkie zajęcie się tą grą i poszedł do saloniku, baron chciał iść za nim, ale zatrzymał go Gwido.

— Odchodzę ojcze, czas mi do kasyna.

— Ależ zostań. Nie wypada; mamy gościa.

— A cóż mnie ten amerykański dorobkiewicz obchodzi. Nie jest moim gościem.

— Ale moim i ty masz obowiązek zająć się nim, równie jak ja.

— Ja go tu nie zaprosiłem, więc nie mam dla niego żadnych obowiązków. Nie mogę przecież stracić partyi w kasynie dla takiego tam jakiegoś... Amerykanina.

— Ależ ja żądam tego, abyś został.

— Niech papa wybaczy, że nie będę posłuszny.

Powiedział stanowczo, zapalił papierosa i wyszedł. Baron wszedł pochmurny do saloniku. Elwira grała zawzięcie. Po burzliwym, gwałtownym marszu nastąpiły łagodne preludya, potem coś w rodzaju sonaty, aż senne, ciche płynęły tony, jak marzenia, widziadła, jak nuda dnia jesiennego, jak ziewanie, i znowu brzmiał huragan tonów.

Baron rzucił się we fotel i jakby zapomniał o gościu, zgnębiony, marzyć zaczął i snuły mu się myśli czarne, smętne, ponure.

Śród tego przepychu salonów, śród gobelinów, marmurowych posągów, po kosztownych dywanach krążyło widmo ruiny majątkowej. Wyciągało ku baronowi trupie dłonie i chciało go dławić, na śmierć dławić. Opędza się widziadłom, uspokaja trgające niepokojem serce, przywołuje na pomoc najrozmaitsze refleksye, ale widma nie uciekają. Otaczają go, to znowu wżerają mu się do głębi duszy i przemieniają w wyrzuty sumienia.

Był niegdyś szczęśliwy, spokojny. Dopóki żona nie umarła, mieszkał na wsi, pracował na roli w Berghausen. Był w domu spokój, skromny dostatek, cześć ludzka i nadzieja najpiękniejszej przyszłości dla trojga dzieci. Po śmierci żony było mu pusto, samotno, więc raz i drugi wyjechał na kilka tygodni do Berlina i stolica zaczęła go zwolna nęcić, pociągać ku sobie, aż wreszcie przygłągnął do niej i do jej życia. A życie było tu gorączkowe. Choroba wielkości ogarniała wszystkich od góry do dołu; francuskie miliardy po wojnie 1870 roku wyrastały z trującą legendą i tą legendą rozbudzały się fantazye, wzrastały fałszywe energie, podsycane chciwością mienia, potęgi, panowania. Powstał kult złotego cielca i jeden zapanował nad wszystkiemi ideał, a tym ideałem: żyć i użyć, używać i nadużywać, zanurzać się w zbytkach, błyszczeć, szumieć, imponować, olśniewać i deptać po wszystkich i po wszystkiem, co tylko zdeptane być może.

Rozwinęły się zuchwałe, najczęściej bezczelne spekulacye, byle grosz płynął, byle złoto kapało, a czy tam z tego wyniknie ruina, czy splugawienie honoru, czy krzywda czyjaś, czy łzy i przekleństwa oszukanych, o tem nie myślał ten świat nowej epoki.

Dochody z dóbr i posagu żony, nie wystarczyły baronowi na to, aby mógł w stolicy błyszczeć, olśniewać, więc rzucił się w ten wir spekulacyi, w który rzucało się tak wielu innych. Rozwinął dom na skalę najbogatszych milionerów, zbudował pałac, zawiązywał stosunki, które mu ułatwiały wyzyskiwanie tytularnych i rzeczywistych godności, a owe tytuły i godności ułatwiały mu wstęp w najpierwsze sfery finansowe. Oddawał na targowicę spekulacyi swoje starożytne nazwisko, swoje stosunki i płynął tak na tej wzburzonej fali, ale bez steru, ale bez woli, a niekiedy wbrew woli. Przedsiębiorstwa i spekulacye pochłonęły kapitał posagowy, zadłużyły majątek, zwichnęły zupełnie zdrową gospodarkę domową i baron żył teraz właściwie tylko jeszcze pozorem, tylko jeszcze blichtrem, tylko jeszcze resztkami zachwianego kredytu.

A dzieci? Czyż miał czas zajmować się niemi? Syn Gwido pozostawał pod opieką guwernerów, potem przeszedł w służbę wojskową, ale ojciec nie miał czasu, aby mu ciepła rodzinnego użyczyć, ani duszą jego pokierować, ani charakter urobić. I zmarniał moralnie ów syn najstarszy i czuł się obcym w rodzicielskim domu. Wyrastał z niego człowiek bez serca, bez rozumu, wyrastał człowiek-zwierzę.

Córka Elwira, po stracie matki, bez wzoru, bez opieki, bez kierunku, wprowadzona zbyt wcześnie na błyszczące salony stolicy, przesyciła się nimi, nie nauczyła się dopatrywać wzniosłych celów życia, nudziła się życiem, rozkapryszona, w rozterce ze sobą. Gdzieś tam na dnie duszy migotały jakieś światełka tego szczęścia, które człowiek sam z siebie wykrzesać może i wykrzesać powinien. Gdzieś na dnie duszy brzmiały jej harficzne dźwięki szlachetniejszych pragnień i porywów. Wpatrywała się niekiedy w te światełka, wsłuchiwała w dźwięki i wtedy uśmiech zadowolenia osiadał przelotnie na jej ustach, marzyła o Berghausen, o latach swojego dzieciństwa i życie uśmiechało się ku niej pogodne, jasne, ponętne. Bywały to chwile rzadkie, ale bywały. Nie mogły pojawiać się częściej, bo salon-moloch czyhał co dnia, żądny ofiary i nęcił ją szumem jedwabi, połyskiem świateł, ogniem brylantów, szeptem pochlebstw i uwielbień i skoro w nim się znalazła, znikały owe światełka i milkły owe dźwięki na dnie duszy. Ojciec nie miał czasu dla niej, brat go mieć nie chciał i nie umiał, młodszy brat był dzieckiem i Elwira była sama, samotna. „Samotność mędrców mistrzyni", powiedział poeta. Tak — może być mistrzynią mędrców, ale dusz słabych jest trucicielką.

Nad dziećmi w tej chwili nie zastanawiał się baron, jeno nad tem, co będzie jutro. To widział dobrze, że stanął na krawędzi przepaści i że lada chwila musi się w nią potoczyć, jeżeli go nie zatrzyma silna ręka milionera Snovarda.

Snovard jego zięciem? Amerykański przybłęda — nieznanego pochodzenia, ma zostać mężem jego córki, baronówny Ellerich i zostać nim dlatego, żeby splendor imienia Ellerichów ratował. Sprzedać ma córkę; straszne, to wstyd wobec dwudziestu pokoleń przodków.

I zerwał się baron, ocknął, zacisnął pięści, jakby chciał zwalczać kogoś, czy siebie. Nie, nie, córki nie sprzeda!

W tej chwili wypełzło widmo ruiny majątkowej i sunie ku niemu ponure, czarne, straszne i pokazuje mu na dnie przepaści nędzę, pośmiewisko ludzkie. Uląkł się baron, cofnął wstecz z przerażenia, a w tej chwili z przyległego pokoju zabrzmiały na fortepianie dzikie, gwałtowne akordy. Przypomniał sobie baron Elwirę i Snovarda. W tej chwili był tak zgnębiony, rozdarty, że nie miał odwagi i siły wejść do nich.

Gdy baron marzył i rozmyślał, Elwira wciąż grała, a Snovard, wsparty na poręczy krzesła, stał przy niej, jak zawsze posągowy, zimny. Gdy na chwilę grać przestała, zagadał Snovard, jakby od niechcenia:

— U pani widzę bezmierną energię temperamentu, której ciasno w tych ramach życia, w jakich się pani dotychczas zamyka.

— Gdyby tak było, jak pan mówi, to mogłabym te ramy rozszerzyć.

— Powinna to pani uczynić jaknajprędzej.

— W jaki sposób?

— Wyjść zamąż.

— Zabawne. Czyż to konieczne?

— Ależ zupełnie naturalne. Jako osoba niezamożna, w domu ojca, nie może pani przecież rozwinąć tej swobody, która przysługa mężatce.

— Za mały powód, aby się zaprzęgać w jarzmo małżeństwa.

— Dlaczego pani małżeństwo nazywa jarzmem? zdaje mi się przeciwnie, że ono dozwala większej swobody, że czyni życie wygodniejszem, a tem samem i przyjemniejszem.

— Ale krępuje obowiązkami.

— Zależy od tego, jak je kto pojmuje. Ja naprzykład pojmuję małżeństwo jako połączenie się dwóch osób wzajem sobie potrzebnych i pomagających sobie do życia.

— Więc to interes handlowy, czy też handlowa spółka?

— Prawdę powiedziawszy — to wszystkie stosunki życia zawiązuje się z interesu, czyli dla zabezpieczenia sobie wzajemnych korzyści.

Elwira przestała słuchać i znowu uderzyła w klawisze i z większym jeszcze niż dotąd rozmachem. Zdawało się, że przelewa w nie czy walkę wewnętrzną, czy gniew gwałtowny. Snovard z całym spokojem słuchał tego wylewu wzburzonych uczuć, jak zawsze pewien zwycięstwa we wszystkiem, czego dokonać postanowił.

Zepsuta hołdami salonu, z rozbudzoną próżnością, bez głębszego etycznego ukształcenia, wyrosła Elwira bez wpływu matki, więc nie utrwaliła w sobie poważnych wyobrażeń o życiu, nie uszlachetniła serca, nie miała równowagi w charakterze. A jednak w głębi duszy był u niej posiew dobry, odziedziczony po matce, zacnej i rozumnej, tylko tego posiewu nie rozwinęło życie, a tłumiła bezczynność i bezmyślność.

Snovard rozprawiał o małżeństwie, jak o spółce handlowej i temu sprzeciwiał się jej głos wewnętrzny. Był to instynkt kobiecego serca, które pragnie kochać i być kochanem. Usłyszała ten głos, płynący z serca — równocześnie przypomniała sobie spotkanie ze Schwerdtnerem, pierwszą z nim rozmowę, jego niezwykłe zachowanie się, tak odmienne od zachowania tuzinkowych lwów salonowych.

Chciała odpędzić i zjawisko i wspomnienia, ale jej natrętnie i coraz wyraźniej przed oczyma stawały. To ją zgniewało. Próżność, duma rodowa przemówiły teraz jeszcze głośniej i uczuła odrazę do Schwerdtnera, że ośmielił się jej przypomnieć. Jakiś nauczyciel domowy, syn wieśniaczy nasunął się jej przypadkowo na oczy i teraz ośmiela się budzić w niej jakieś wspomnienia. Uraza zamieniła się w obrazę i z pogardą odwróciła się od wspomnień i natrętnych widziadeł, uderzyła kilkoma akordami w fortepian i wstała nagle wyprostowana i dumna.

— Pani włada fortepianem prawdziwie po królewsku — rzekł Snovard z lekkim uśmiechem. W ten sam sposób mogłaby pani władać ludźmi, a to sprawiłoby pani bez porównania większe zadowolenie. Pani wybaczy, że do tego, co powiedziałem, nawiążę propozycyę, może w oczach pani zbyt śmiałą, czy niezwykłą, ale według mego przekonania bardzo trafną i rozumną.

— Słucham pana.

— Nadmieniłem, że pojmuję małżeństwo, jako skojarzenie się dwóch osób, które wzajemnie potrzebować się mogą i które mają wzajem zapewniać sobie różne korzyści. Pani ma wszelkie warunki potemu, aby zająć w świecie stanowisko imponujące, aby królować w najwykwintniejszem towarzystwie, a ja mam środki do tego niezbędne. Gdybym oddał do dyspozycyi pani moje miliony — mogłabyś pani istotnie być pierwszą damą nietylko w stolicy, ale i w całem państwie. Ja zaś, mając taką żonę, jak pani, mógłbym stworzyć ognisko towarzyskiego życia, przy którem zasiadałyby głowy koronowane. Czy pani pozwoliłaby, abym oddał pod jej rozwagę projekt naszego małżeństwa?

Elwira spojrzała na Snovarda z prawdziwem zdumieniem. Spodziewała się może, że będzie zabiegał o jej rękę, ale sposób, w jaki to teraz uczynił, był dla niej prawdziwą niespodzianką. Snovard nie otrzymawszy natychmiast odpowiedzi, spoglądał na nią przez chwilę spokojnie i w milczeniu, a gdy pauza była nieco za długa, odezwał się chłodno i obojętnie jak zwykle:

— Może pani wygodniej będzie później mi odpowiedzieć, a tymczasem niech mi wolno będzie uzupełnić moją myśl. Doświadczenie mnie pouczyło, że małżeństwa, zawarte nie z uniesień erotycznych, jeno z rozwagi i rozumnego obliczenia, bywają najszczęśliwsze. Wyobrażam sobie, że dość dwojgu ludziom wzajemnego szacunku i pomagania sobie w życiu. Niech pani raczy rozważyć bez przesądu. Z góry oświadczam, że im bardziej starałaby się pani o urządzenie domu królewskie, tem skorzej dostarczałbym na to środków, bo właśnie pragnę stworzyć dom pełen przepychu, a pani uczyniłaby to z wielkim smakiem i w sposób prawdziwie dystyngowany. To byłby właściwy cel naszego małżeństwa.

Ta bezceremonialność Snovarda, zaczęła się Elwirze podobać, jako rzecz oryginalna, więc uśmiechnęła się i rzekła wesoło:

— Pan tak niezwykle szczery, że nie mogę w tej chwili znaleść stosownych wyrazów, aby tę szczerość pańską należycie ocenić.

— Nie nalegam, będę czekał cierpliwie, każdy interes potrzebuje namysłu i rozwagi; ja rozważyłem dobrze, teraz kolej na panią.

Elwira skinęła głową na znak potakiwania i znowu grać zaczęła, ale tym razem ułożyły się jej palce do wesołego walczyka.

Wszedł baron, zaczął rozmawiać obojętnie ze Snovardem, Elwira wstała od fortepianu i machinalnie przepatrywała nuty. Snovard pożegnał się, baron go odprowadził i odszedł potem do swego gabinetu, nie mając odwagi rozmawiać z córką.

Elwira długo nie mogła zasnąć, bo z jednej strony tłoczyło się jej do głowy wspomnienie Schwerdtnera, a z drugiej roztaczały się blaski świetnego życia, zapomocą milionów Snovarda.

VIII.

Tego roku wcześniejsza była zima niż zwykle, prędko ścięły się lody, więc też pospieszono z otwarciem wielkiej publicznej ślizgawki, z której bodaj połowa Berlina korzystała. Otwarcie ślizgawki bywa dla zwolenników łyżwy wydarzeniem pożądanem, ponętnem, toż nie dziw, że tłumy spieszą, aby wziąć udział w tej uroczystości. Ludzie bogatsi, co radzi zaliczać się do tak zwanego „lepszego towarzystwa", tego dnia nie spieszą na tor łyżwiarski, aby się z tłumem nie mięszać, ale Elwira nie zważała na to

Znudzona jak zwykle, żądna wrażeń, a może i podniecona: zarówno oświadczynami Snovarda, jak i wspomnieniami, które w niej Schwerdtner obudził, pospieszyła na ślizgawkę właśnie dlatego, aby doznać wrażeń pośród niedzielnego zbiegowiska. Pojechała sama, a zostawiwszy powóz daleko od toru łyżwowego, doszła do niego pieszo, mieszając się z publicznością. Mało ją kto znał, więc z całą swobodą zaczęła używać ślizgawki. Zamieszana w wirze kręcących się w różne strony po lodzie, usłyszała nagle głos brata poza sobą.

— Elwira— zawołał August. Cóż ty tu robisz?

— Ślizgam się, jak widzisz — odpowiedziała niechętnie — ale skąd ty się tu wziąłeś?

— No, jakże możesz się dziwić. Niedziela, nauki niemam żadnej, więc jakiżto byłby ze mnie student, gdyby mnie brakło na ślizgawce.

— Pozwolono ci przyjść samemu?

— Ależ nie. Doktor Schwerdtner mnie przyprowadził i także się ślizga.

Usłyszawszy to Elwira skrzywiła się niezadowolona. August tego nie spostrzegł i rzekł wesoło:

— Będziemy się ślizgali we troje, doskonale. Bo widzisz on tam jest, szuka mnie, patrz, patrz, już mnie zobaczył, spieszy ku nam. Przypatrz się, jaki on wspaniały łuk zatacza.

Elwira, nic nie odpowiedziawszy, zasunęła welon na twarz, zwróciła się w stronę przeciwną i całym pędem puściła się po lodzie. Gdy Schwerdtner zbliżył się do Augusta, Elwira była już bardzo daleko.

— Moja siostra jest tutaj. Cieszyłem się, że będzie się z nami ślizgała. Prosiłem jej, aby na pana zaczekała, ale mi uciekła.

Naiwne opowiadanie Augusta w pierwszej chwili dotknęło doktora, bo tłómaczył je sobie w ten sposób, że Elwira uważa go za niegodnego swego towarzystwa; ale wnet nasunęły mu się pocieszające myśli, gdy sobie przypomniał, jak go zaraz pierwszego dnia przyjęła uprzejmie, jak później w zimowym ogrodzie chętnie i życzliwie z nim rozmawiała.
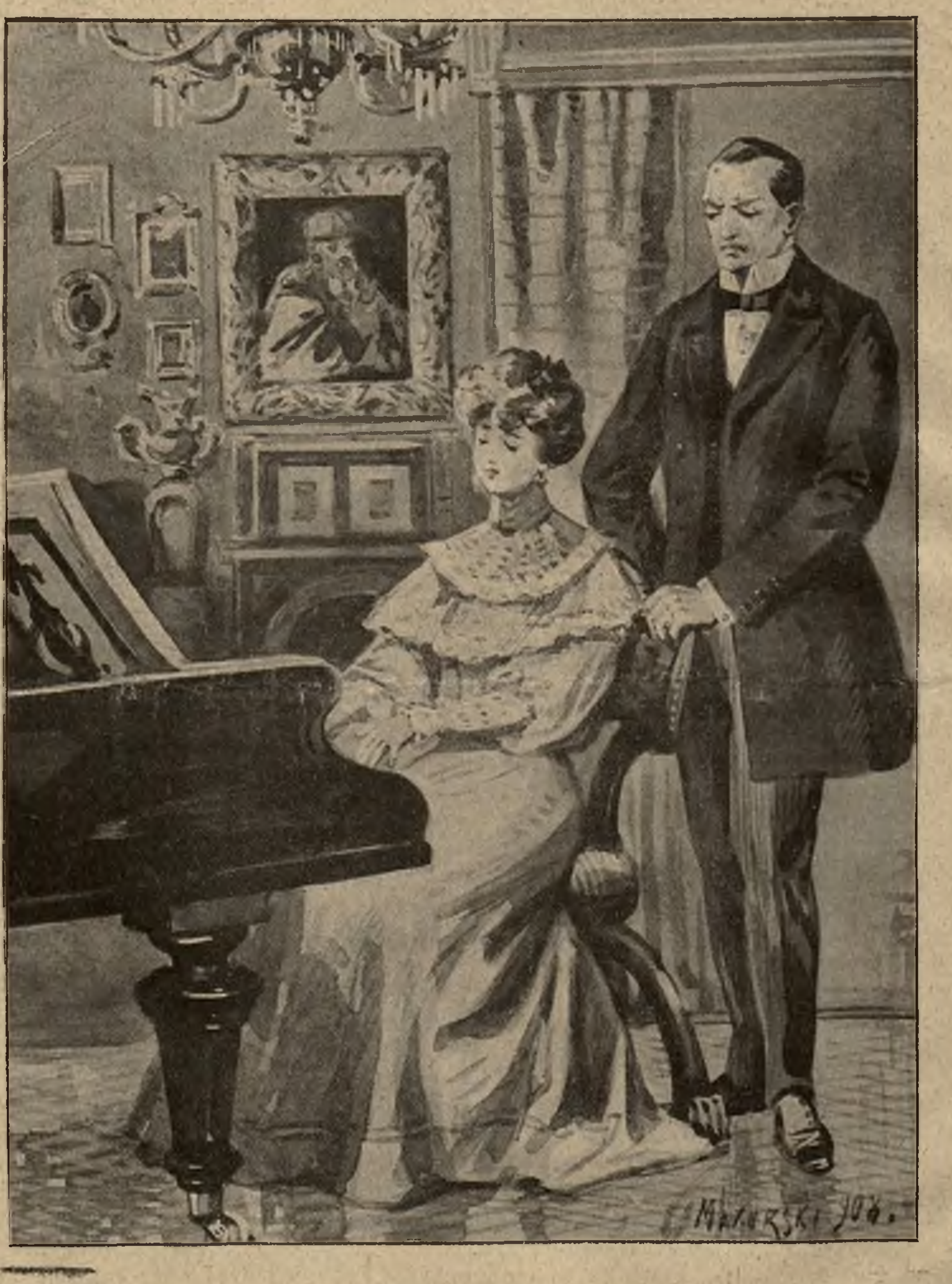
— Pewnie nie dobrze zrozumiałeś, co siostra mówiła — rzekł Schwerdtner i ścigał oczyma niknącą już w tłumie Elwirę.

— No Auguście, puśćmy się za siostrzyczką — rzekł wesoło i obaj popędzili za znikającą.

Ze Schwerdtnertem pędziły i myśli, które od kilku tygodni natrętnie i uporczywie w głowie mu krążyły. Owa baśń, którą czytał w lesie o zaklętej księżniczce, wspomnienie czarującej dziewczynki, która z baronową jechała, a potem, po wielu latach portret, którym zaraz pierwszego dnia w pałacu się zachwycał, nagłe i niespodziewane spotkanie się z Elwirą, właśnie wtedy, gdy w portret się wpatrywał i baśń sobie przypomniał; potem rozmowa w ogrodzie zimowym; wszystko to snuło się jedno za drugiem, jednolitem pasmem, i wywierało wrażenie tkliwe, serdeczne. A nie dziw, bo nietylko w głowie Schwerdtnera snuły się natrętne myśli, ale i w jego sercu zaczęły kiełkować natrętne uczucia.

Młody, życiem nie zepsuty, o zdrowej duszy i zdrowem sercu, doznał tych wzruszeń, które bywają początkiem miłości. Był prostoduszny, więc chwilami lubował się tem rozkosznem wzruszeniem, boć przecież w baśniach tyle się naczytał o księżniczkach, które sobie pastuszków brały za mężów; ale był to umysł trzeźwy, wyprawiony głęboką nauką, zahartowany w pracy i twardej doli życia, zatem męski i silny. Zrozumiał wzruszenia serca, nie chciał uczynić z siebie przedmiotu komedyi dla wielkich panów, a sercu swemu i życiu przeznaczyć tragicznych momentów. Dlatego to postanowił prosić barona o uwolnienie z posady, ale przywiązanie, które powziął do Augusta i obowiązki wdzięczności dla barona, wstrzymywały go na razie; być może, że świtała mu też niekiedy nadzieja, iż mogłoby się spełnić to, o czem w baśniach czytywał.

I teraz ta nadzieja przemówiła doń głośno i dlatego pędził z Augustem, za uciekającą Elwirą. Elwira nie spodziewała się takiej pogoni, więc zwolniła biegu, tak że ją Schwerdtner z Augustem dopędzili. Schwerdtner ukłonił się bardzo uprzejmie, Elwira zaś, nie odkłoniwszy się wcale, spojrzała na niego z odpychającą wyniosłością i zwróciła się w przeciwną stronę.



Snovard, wsparty na poręczy krzesła, stał jak zawsze posągowy, zimny

To już wydało się Schwerdtnerowi nie kaprysem, ale obrazą, wyrządzoną mu w sposób wcale niedwuznaczny. Znikły z jego myśli widziadła baśni, a wziął górę trzeźwy rozum. Wysilał się na obojętność, ale August z całą naiwnością rzekł do swego ukochanego profesora:

— Co ta Elwira wyprawia? Czemu ona dla pana taka niegrzeczna?

— Nie trzeba tak mówić Auguście, bo nie godzi się ganić starszej siostry. Panna Elwira była pewnie zamyślona i dlatego nie spostrzegła mego ukłonu. Nie przeszkadzajmy jej, bawmy się sami.

Elwira sunąc po lodzie myślała o milionach Snovarda, o tych przepychach swego salonu, w którym głowy koronowane będą jej hołdy składały, jakto jej Snovard opowiadał. Widziała się już ową pierwszą damą, nietylko Berlina, ale całych Niemiec, według zapewnień Snovarda; uczuwa w całej pełni rozkosz imponowania światu, a tu zjawia się jej nagle przed oczyma ten nieszczęsny guwerner brata. Doznała wrażenia na jego widok, jakby szedł rozwiewać jej marzenia, burzyć jej szczęście. Zdawał jej się w chwili spotkania na lodzie widmem nieznośnem, lub wyrzutem sumienia. Nie chciała w onej chwili słyszeć już tych uroczych dźwięków, które kilka razy dobywały się z głębi serca, a on tu się zjawił, aby te dźwięki rozbudzić. Nienawidziła go w tej chwili, strasznie nienawidziła.

Wzburzona do głębi usiadła na ławce, podniosła woalkę, żeby mroźnem powietrzem studzić ogień gniewu. Schwerdtner dojrzał ją zdaleka, od niechcenia zbliżał się coraz bardziej ku ławce, na której siedziała, potem całym pędem ku ławce się posunął i udając, że dopiero teraz Elwirę zobaczył, nagle na trzy kroki przed nią zwraca się śmiałym, zgrabnym łukiem, obrzuciwszy Elwirę spojrzeniem, w którem był silny wyraz lekceważenia.

Poznała się na tem kapryśna baronówna i po części zawstydziła. Może byłaby się oburzyła, a bodaj obraziła, możeby nawet bardziej unosiła gniewem niż dotąd, ale Schwerdtner taki był zgrabny, taki postawny, tak piękny, z taką elegancyą sunął się na łyżwach, że wyglądał wśród tłumu, jak królewicz z bajki. Więc przestała się gniewać i miliony Snovarda, owe przepychy życia usunęły się wdal, a serce do niej wołać zaczęło: „kobieta musi kochać i być kochaną". Zerwała się z ławki i popędziła na koniec toru łyżwowego, gdzie prawie nikogo nie było. Chciała być samą, swobodną. Mknie coraz dalej, coraz śmielej, prawiej bez upamiętania, a tymczasem August dopatrzył ją i przeraził się, bo tam właśnie kończył się lód, a zaczynały niezamarznięte wody, spływających do stawu rzeczułek. Znał siostrę, wiedział, że niekiedy bez upamiętania zapala się do czegoś i na niebezpieczeństwa naraża. Przypomniał sobie, jak dosiadała nieujeżdżanych koni, jak powoziła końmi, które były pierwszy raz w zaprzęgu i już kilka razy na lodzie się załamała. Więc chłopczyna puszcza się co tchu za siostrą i woła, aby powróciła, ale Elwira coraz bardziej się oddala, coraz spieszniej mknie po lodzie i już jest blisko czerwonych słupów, które tworzą granicę toru łyżwowego.

Schwerdtner zobaczył to zdala, wytęża siły, napędza Augusta i chce go zatrzymać.

— Panie doktorze, straszne niebezpieczeństwo — mówi August, nie mogąc tchu złapać — widzi pan, tam Elwira, już dopędza do czerwonych słupów, a za nimi śmierć.

Schwerdtner ogarnął niebezpieczeństwo jednym rzutem oka i puścił się w szaloną pogoń za baronówną. Groza niebezpieczeństwa dech mu zapiera, śmiałość i energia dodają sił; łyżwiarzem był niezrównanym, ale w tej chwili trzeba było mieć skrzydła u ramion, a nie łyżwy na nogach, aby dopędzić Elwirę. Silna wola, niewyczerpany zapas sił młodzieńczych, stają się dla niego jakby skrzydłami, które go unoszą z szybkością, niewidzianą na torze łyżwowym. Już coraz mniejsza przestrzeń dzieli go od Elwiry. Jeszcze jedna minuta, a już ją dosięgnie, ale w tej minucie może stać się nieszczęście. Schwerdtner słyszy szum potoków, spadających kłębistą falą pod lód na stawie, a Elwira już posunęła się na te podmywane lody; Schwerdtner skupia ostatek sił, pot twarz mu oblewa, nawał krwi oczy zasłania, prąd powietrza dech tłumi, a jednak pędzi, bo jakaś zaciekłość go ogarnęła, raczej zginąłby wolał, niż patrzeć na śmierć Elwiry.

Baronówna usłyszała za sobą pościg, skręciła łukiem w bok i pędziła w stronę jeszcze niebezpieczniejszą. To Schwerdtnerowi ułatwiło pościg, bo prosto, łuk omijając pogonił ku niej i w kilkanaście sekund zastąpił jej drogę już na samym krańcu lodowiska. Elwira spojrzała na niego z największem oburzeniem i z pogardliwą wyniosłością i dalej po lodzie puścić się chciała.

— Pani będzie łaskawa zatrzymać się — zawołał Schwerdtner stanowczo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ustąpienie zasłużonego dyrektora teatru.

Po dwunastu latach żmudnej, pełnej cierni, więc i ofiarnej wielce pracy, ustępuje Edmund Ryger w połowie maja ze stanowiska dyrektora tea-



Ustąpienie zasłużonego dyrektora teatru: Edmund Ryger.

tru polskiego w Poznaniu. Pełną cierni była ta praca, bo trzeba było pamiętać o posłannictwie szczytnem sceny poznańskiej, jako placówki narodowej a wobec niesłychanego ucisku, wobec niesłychanych szykan, stosowanych przez miejscowe, niemieckie władze, było to zadanie istotnie bardzo trudne i bardzo ciężkie. Jeśli więc mimo wszystko dyrektor Ryger potrafił nietylko teatr swej pieczy powierzony utrzymać na poziomie prawdziwego artyzmu, nietylko uniknąć deficytów, ale przez tak długi okres czasu spełniać w tak trudnych warunkach obowiązek narodowy i patryotyczny, to zasługa w tem przedewszystkiem jego osobista, zasługa wielkiego talentu i poświęcenia własnych celów.

Edmund Ryger jest z rodu Warszawianinem, karyerę artystyczną zaś rozpoczął już w 1874 r. Odbywszy studya przedwstępne pod kierunkiem Królikowskiego i Chęcińskiego, rozpoczął wędrówkę artystyczną po prowincyi Królestwa Polskiego w trupie Anastazego Trapszy, już wówczas jako wybijający się swemi zdolnościami na pierwszorzędne stanowisko aktor. Następnie pracował na scenach teatrów w Krakowie i Lwowie, od 1883 r. zaś przebywał aż do 1896 r. stale na scenie krakowskiej za dyrekcyi Koźmiana, Gliksona i Pawlikowskiego.



Ustąpienie zasłużonego dyrektora teatru: Dyrektor Ryger w roli Wojewody w »Mazepie«.

W r. 1896 powołany został na stanowisko dyrektora sceny w Poznaniu i przez pełnych lat dwanaście sceną tą kierował, ku chlubie polskiej sztuki i ku pożytkowi polskiego społeczeństwa.

Dyrektor Ryger to indywidualność niepowszednia, jako aktor jeden z najwybitniejszych w plejadzie polskich artystów. Szczególnie w rolach bohaterskich, w rolach wymagających siły wyrazu, potężnego głosu i wielkiego rozmachu, jest wprost niezrównanym. Otello, Król Lear, Derwid, Wallenstein, Wojewoda w „Mazepie“, Franciszek Moor w „Zbójcach“ itd., oto najważniejsze, najpotężniejsze jego kreacye. Umie w nich dyrektor Ryger połączyć żywiołowy temperament z miarą prawdziwie artystyczną, umie w odtworzone przez się postacie włożyć całą pełnię życia i prawdy, bez cienia szarży lub przesady.

Tak samo tylko z wyrazami najżywszej i najszczerszej pochwały mówić można o Rygerze jako o reżyserze i jako o dyrektorze. Człowiek nieposzlakowanej uczciwości i zacności, charakter czysty, otwarty, zjednał też sobie na odpowiedzialnem stanowisku tylko sympatyę i uznanie krytyki i publiczności, a prawdziwe przywiązanie i miłość artystów.

Ustępując ze stanowiska dyrektora polskiego teatru w Poznaniu, wybiera się dyrektor Ryger



Ustąpienie zasłużonego dyrektora teatru: Dyrektor Ryger w roli »Otella«.



Ustąpienie zasłużonego dyrektora teatru: Dyrektor Ryger w roli »Króla Leara«.

ze swą zgraną wybornie trupą do większych miast Słowiańszczyzny, zaczynając od Cieszyna i Pragi.

Na drogę tę przesyłamy dyrektorowi Rygerowi serdeczne „Szczęść Boże!“

Kronika tygodniowa.

(Zwierciadło moralności pruskiej. — Orgie homoseksualne. — »Książe Fili«. — Dobry początek. — Gawrony a wiosna. — Katastrofa z dyszlem.)

Gdyby nie głęboka wiara, zwątpiłbym o mądrości, a zwłaszcza sprawiedliwości Boga na widok Prusactwa. Ale wiem, że Bóg dał ludziom i ludom wolną wolę, dla jednania sobie zasług i uznania, albo ściągania na siebie przekleństw i potępienia. A Prusacy pracują od początku swego istnienia z przedziwnym uporem, no i... powodzeniem, ażeby nad głowami swemi zgromadzić orkan potępienia. Prusacy — to naród prawdziwie specyalny. Są Niemcami? Ano — mówią po niemiecku, ale zresztą mają swe odrębne dzieje i zupełnie odrębną psychologię. Zwłaszcza psychologię. Posiadają wszystkie wady zwierząt drapieżnych, ani jednej zaś ich zalety. Mają złośliwość padalca, chytrość lisa, krwiożerczość tygrysa, nienasycone łakomstwo węża dusiciela, podłe tchórzostwo hyeny wobec mocniejszych i jeszcze podlejszą odwagę jej wobec słabszych. Nie znają dumy lwa, ani ślepej furyi tygrysa, ani naiwnej odwagi niedźwiedzia. A jak pewien rodzaj robactwa pleni się najsilniej pośród niechlujstwa fizycznego, tak Prusacy rosną w potęgę pośród niechlujstwa etycznego. I dlatego zupełnie trafnie owo robactwo nazywamy „prusakami“.

Dzięki też niechlujstwu etycznemu Europy Prusacy od roku 1870 stali się „wielkim“ narodem. I znowu nie posiadają ani jednej zalety wielkiego, choćby tylko fizycznie narodu, przyswoili sobie natomiast wszystkie jego wstrętne wady, świadczące o upadku i zwyrodnieniu. Urośli i zwyrodnieli równocześnie. Ani na chwilę nie mieli czystej wielkości. O zwyrodnieniu Prusaków możnaby i trzebaby pisać obszerne rozprawy. Nie tutaj miejsce na obszerne traktaty, wspomniemy więc tylko o konkretnym fakcie z ostatnich czasów, o rewelacyach, które ogłosił Maksymilian Harden w swojem czasopiśmie „Zukunft“.

Zdawałoby się, że rewelacye owe są wymysłem „Simplicissimusa“, wybornego pisma humorystycznego, tak niemiłosiernie chłoszczącego Prusaków i stolicę ich Berlin. Ale Harden, opowiadając rzeczy nieprawdopodobne, mówił jednak prawdę, z wyjątkiem podrzędnych szczegółów. Mówił skandaliczną prawdę — mimo olbrzymiej skandaliczności jeszcze niezupełną. Cuchnące szczegóły z tysiąca i jednej nocy pruskich. Posłuchajcie:

Był sobie i żyje dotąd jeszcze ks. Filip Eulenburg, który niegdyś był hrabią, a za nieznane ogółowi zasługi otrzymał od cesarza Wilhelma tytuł księcia. Otóż ów książe Filip Eulenburg, zwany poufale „Fili“, przez dłuższy czas ambasador niemiecki w Wiedniu, człowiek, który obalał i mianował kanclerzy, przyjaciel cesarza niemieckiego, urządzał na zamku swoim przy stole biesiadnym uczty wspaniałe, podczas których mówiono o Wilhelmie, nazywając go „Liebchen“, a po których oddawano się uciechom homoseksualnym. Dojrzali, a nawet starsi już mężczyźni, zajmujący w państwie odpowiedzialne i wybitne stanowiska, urządzali nawzajem na swoich osobach nadużycia płciowe, o ile zaś nie starczyły im własne osoby, kompletowali orgie mężczyznami z ludu, zwłaszcza szeregowcami z gwardyjskich pułków konnicy.

Oto główna treść rewelacyi Hardena. Mówiono o nich głośno w całych Niemczech i zagranicą, milczały tylko dyskretnie skompromitowane osoby. Sprawę przedstawił wreszcie cesarzowi Wilhelmowi następca tronu i wtedy generał, hr. Kuno Moltke, należący do grona skompromitowanych osób, wytoczył pod „wysokim“ naciskiem proces karny Hardenowi. Rozpoczęło się fatalne pranie brudów. Schorowany ks. Filip Eulenburg, zrujnowany moralnie i fizycznie, stanął pod pręgierzem, podobnie jak hr. Kuno Moltke, rotmistrz kirasyerów gwardyjskich, hr. Lynar, drugi rotmistrz, hr. Hohenau, obok szeregu świadków. Zeznawali kirasyerzy gwardyi, odkrywając orgie homoseksualne hrabiowskich przełożonych. Okazało się przy tej sposobności, że już poprzednio władza wojskowa zabroniła kirasyerom gwardyjskim w Potsdamie pod Berlinem wychodzić na spacer w białych, obcisłych pantalonach, gdyż w ten sposób uwodzili oficerów.

A więc homoseksualne wybryki pod okiem władzy mogły „kwitnąć“ bezkarnie. Harden został uwolniony — hr. Moltke pogrążony. Było to w listopadzie u. r.

Nagle w styczniu bieżącego roku prokuratorya państwa z urzędu wytoczyła Hardenowi ponowny proces o obrazę hr. Moltkego, któremu groziło sromotne wykluczenie z armii. Zaczęło się powtórne pranie brudów. Moltke przy pomocy nowych świadków oczyścił się do pewnego stopnia. Przy tej sposobności ks. Filip Eulenburg zeznał pod przysięgą, że nietylko hr. Moltke niemiał zwyrodniałych popędów płciowych, ale że także on sam, to jest „ks. Fili“, nigdy nie uprawiał homoseksualizmu, to jest stosunków z mężczyznami. Tym razem Harden przegrał, a hr. Moltke został zrehabilitowany, przynajmniej formalnie. Sąd skazał Hardena na 4 miesiące więzienia. Ale rycerscy rotmistrze gwardyi, hr. Lynar i Hohenau zostali wypędzeni z armii.

Upłynęły prawie trzy miesiące, gdy niespodziewanie w Monachium na tle tej sprawy rozegrał się nowy proces. Mianowicie w jednym z dzienników monachijskich pojawił się artykuł, zarzucający Hardenowi, że nie wyzyskał całego materyału przeciwko ks. Eulenburgowi i że nic dziwnego, jeżeli z tego powodu obiega pogłoska, jakoby Harden wziął zato od ks. Eulenburga milion marek. Harden wytoczył Staedelemu, redaktorowi owego dziennika, proces o obrazę i powołał do rozprawy licznych świadków. Proces rozgrywał się pomiędzy Hardenem, a redaktorem Staedelem, ale pod pręgierzem stanął znowu „ks. Fili“. Świadkowie zeznali pod przysięgą, że „ks. Fili“ urządzał sobie z nimi i na ich osobach przeróżne nadużycia płciowe. A skoro tak — to ks. Eulenburg złożył poprzednio fałszywą przysięgę, gdy zapewniał, że nigdy podobnych nadużyć płciowych nie dopuszczał się.

Dzięki odmiennej procedurze karnej w Bawaryi możliwym był taki wynik procesu, który w Prusiech byłby inaczej wypadł. Staedele został skazany tylko na 100 marek grzywny, ale mimo to zgłosił rekurs. Podobno proces ów został naumyślnie wywołany przez Hardena i Staedelego, ażeby nareszcie gruntownie zdemaskować ks. Filipa. Dlatego też mimo tak łagodnego wyroku Staedele zgłosił rekurs, ażeby umożliwić ponowny proces i dalsze napiętnowanie „ks. Fili“, tudzież jego przyjaciół, no i... kochanków.

Oto źwierciadło moralności pruskiej. Ale może takich nadużyć seksualnych dopuszczają się tylko arystokraci? Może być, ale jak wygląda moralność inteligenta berlińskiego, świadczy następująca satyra obrazkowa w „Simplicissimusie“. Poważny ojciec rodziny znajduje się w separatce domu publicznego i stoi nad łóżkiem, na którem leży pospolita, bo taryfowa rozdawczyni rozkoszy. „Podobasz mi się — powiada ów jegomość do dziewczyny. Jesteś podobna do mojej córki“. A podobnych, tylko drastyczniejszych satyr znajduje się w „Simplicissimusie“ mnóstwo. A satyra najzajdliwsza ma zawsze realne podłoże.

Wracam na bruk krakowski. Po świętach wielkanocnych pchamy znowu pracowicie taczkę żywota. Dla zwyczajnych śmiertelników tydzień obecny rozpoczął się nieszczególnie, bo ulewnym deszczem i dojmującem zimnem, dla dra Bobrzyńskiego natomiast bardzo pomyślnie, bo nominacyą na galicyjskiego namiestnika. Nie piszę o tem w kronice, pozostawiając osobę nowego namiestnika owemu współpracownikowi, który w „Nowościach Illustrowanych“ dostarczy życiorysu do portretu dra Bobrzyńskiego. Inni kandydaci do pomieszkania „pod kawkami“ we Lwowie mogą odgrywać rolę zapoznanych wielkości, a należy do nich pomiędzy innymi i Dawid Abrahamowicz, przebywający obecnie w Abbazyi. Jak mi opowiadał przybyły co dopiero z Abbazyi kolega, ekscelencya Abrahamowicz codziennie podczas przechadzki wychodzi na „molo“ i przypatruje się jak „baggier“ wydobywa nieustannie kamienie z dna morskiego. Może ta praca „baggiera“ podobną jest do pracy ekscelencyi Abrahamowicza? Dno morskie, oczyszczone jednego roku, trzeba oczyszczać na drugi i tak dalej, może bez końca, na wzór Syzyfa. Kamienie demokratyczne są ciężkie.

Wróciłem na bruk krakowski, a mówię o Abbazyi. Po raz trzeci muszę w kronice stwierdzić, że nie możemy doczekać się wiosny. Psotnica zagląda do nas na chwilę i znika również szybko, jak się pojawiła. Pewien emeryt, pobierający już od 15 lat „panem bene merentium“, a z codziennych przechadzek znający planty tak dokłodnie, jak administracya podatków kieszenie Krakowian, mówiąc o spóźnionej wiośnie, rzekł do mnie:

— Dopóki gawrony nie zaczną budować gniazd na drzewach koło teatru, wiosna nie przyjdzie Ptaki mają znakomity instynkt.

Rzeczywiście tego roku jeszcze nie zaczęły gawrony zlatywać się na walny wiec koło teatru i później zaczną budować gniazda, które pachołkowie miejscy będą zrzucali. Tak się dzieje każdego roku, ale gawrony nic sobie z tego nie robią i z każdą wiosną podejmują tę samą pracę.

Do osobliwości na krakowskim bruku należą wózki dwukołowe, posiadające ogromny dyszel, służący do rzeczy zgoła niezwykłych. Na wózkach owych rozwożą pracowici woźnice — czy jak ich nazwać — wcale znaczne ciężary. Ludzie wielce sympatyczni, ale mający ten dziwny zwyczaj, że wózki swoje pchają z tyłu, a dyszel buja luźnie, grożąc przechodniom przebiciem. Dzisiaj taki wózek pusty wjechał nagle i szybko z ulicy św. Tomasza w Szpitalną i ugodził w bok przechodnia, który na szczęście miał na sobie zimowy paltot. Jegomość był widocznie obcy, nie wiedział bowiem, że dyszle na prowincyi służą do czego innego niż w Krakowie, więc „wsiadł“ na woźnicę, grożąc mu nawet policyą. Ale woźnica uczuł się widocznie pokrzywdzonym i nawzajem „wsiadł“ na przechodnia.

— Trzeba się było usunąć — wołał zapalczywie. Ja niemam czasu patrzeć na dyszel.

— Nie potrzeba patrzeć na dyszel, tylko trzymać go w ręce — zareplikował przechodzień.

— Tak? — odparł ironicznie woźnica. To ja mam z tyłu pchać wózek, a z przodu trzymać dyszel. Taką sztukę umieją chyba w Skawinie.

Przechodzień zrezygnował z dalszej polemiki, widząc, że jest zupełnie bezowocną. Woźnica udał się w dalszą drogę i ku niemałej radości poszkodowanego przechodnia zawadził dyszlem o przejeżdżający ulicą Floryańską tramwaj. Zderzenie się wywołało niemiłe dla woźnicy skutki. Tramwaj pomknął dalej, połowa utrąconego dyszla wyleciała w powietrze na prawo, wózek runął na lewo, a woźnica padł plackiem w środku. Zanim się zjawił policyant, woźnica umknął z uszkodzonym wózkiem, a przechodzień musiał poprzestać na tem przyjemnem zadośćuczynieniu i na bolesnym szturkańcu.

h. j—e.

Zawody w piłce nożnej.

(Do illustracyi na str. 10).

Ruchliwa sekcya sportowa przy krajowym związku turystycznym w Krakowie, urządziła w minioną niedzielę zawody sportowe młodzieży na torze wyścigowym. Udział wzięły w tych zawodach dwie drużyny: lwowska „Pogoń“ i krakowska „Cracovia“, grupująca się właśnie około wspomnianej sekcyi. Zawody obejmowały lekką atletykę i piłkę nożną, a wykazały niejako wielką sprawność wśród obu grup młodzieży, które ze sobą walczyły o lepsze, ale i ogromne, nadspodziewane zainteresowanie się wśród publiczności krakowskiej, zwłaszcza zaś wśród młodzieży. Zapełniły się trybuny wcale gęsto, zapełniły się inne miejsca, a miarą zainteresowania był nietylko liczebny udział widzów, ale ich widoczne zapalenie się przebiegiem interesujących zapasów.

Rozpoczęto lekką atletyką: rzucanie oszczepem i dyskiem, oraz skok wzwyż o tyczce i skok wdal. Z wyjątkiem rzutu dyskiem, lwowiacy pobili krakowskich współzawodników, a najlepszym w trzech tych działach lekkiej atletyki okazał się p. Kamocki, którego precyzyjne skoki i podziwu godna zręczność w rzucaniu oszczepem zjednała mu szczere i gorące oklaski.

Nastąpił match w piłce nożnej. I tu okazało się, iż obie drużyny są równie silne, równie dobrze zgrane. W czasie półtoragodzinnej, zaciętej bardzo, chwilami nawet namiętnej walki, obie strony, z których każda liczyła po 11 uczestników — zrobiły po jednej „bramce“. Ostatecznie też match został nierozegrany. Dalszy jego ciąg zapowiedziany jest na 10 maja we Lwowie.

Za urządzenie tak pięknego popisu sportowego należy się pełne uznanie sekcyi sportowej krakowskiego Związku turystycznego i jej organizatorowi, sekretarzowi Rosnerowi. Pomyślny wynik pierwszych w naszem mieście tego rodzaju zapasów, powinien sekcyę zachęcić do dalszych starań i zabiegów na tem polu.

Rajchmaniada w Warszawie.

Nulla dies sine... scandalo. Może tak o swej „artystycznej" działalności powiedzieć dyrektor Filharmonii i opery warszawskiej, p. Aleksander Rajchman.

Istotnie od bardzo długiego już czasu raz po raz zaprzątają sprawy gospodarki dyr. Rajchmana w instytucyach publicznych uwagę ogółu i przyczyniają się do zaniepokojenia opinii publicznej.



Rajchmaniada w Warszawie: Prof. Ludwik Rosenbach.



Rajchmaniada w Warszawie: Dyrektor Al. Rajchman.

Ostatnim tego rodzaju skandalem, jest głośna dziś, omawiana szeroko w prasie warszawskiej i w dyskusyach prywatnych sprawa dochodu z koncertu na rzecz budowy pomnika Chopina w Warszawie.

Koncert ten odbył się w ostatnich dniach lutego w sali Filharmonii, z współudziałem pp. Korolewicz-Waydowej, Lamonda, Lalewicza, Trąmpczyńskiej i Ursteina. Zarząd Filharmonii uwidocznił w wykazie rozchodów także honorarya, wypłacone współdziałającym artystom. Między temi pozycyami znalazła się kwota 20 rubli, jako wypłacona prof. Ursteinowi. Tymczasem po opublikowaniu tego komunikatu, ogłosił profesor Urstein w dziennikach oświadczenie, że ani nie żądał, żadnego honoraryum, ani go też nie otrzymał.

Powstał stąd huczek. Pojawiła się serya sprostowań i wyjaśnień, między innemi także opinia fachowca prof. buchalteryi Ludwika Rosenbacha i oświadczenie pewnego rodzaju komisyi honorowej, która zajęła się zbadaniem całej tej nietyle tajemniczej, ile brzydkiej historyi. Z tych sprostowań i wyjaśnień wynika, że zarząd Filharmonii nie wypłacił prof. Ursteinowi 20 rubli, ale w „sekrecie" przed nim wpisał tę kwotę na jego dobro w rachunku. Niby formalnie rzecz przedstawia się dość porządnie, w treści jednak, coś tam „nie klapuje". Bo jeśli nawet tak było, jak zarząd Filharmonii przedstawił, to nie należało tego zatajać, a powoływać się na nieistniejące kwity i zapisane tylko na dobro kwoty wykazywać jako wypłacone, zwłaszcza iż prof. Urstein nie miał zamiaru domagać się jakiegokolwiek honoraryum, w dniu zaś owego koncertu regulował właśnie inne swe rachunki z zarządem Filharmonii warszawskiej.

Z powodu tego ostatniego skandalu domaga się poważna część społeczeństwa warszawskiego zakończenia ostatecznych rachunków z dyr. Rajchmanem, wykazując, iż nie należy się cofnąć przed żadnymi, nawet bardzo stanowczymi środkami przymusu moralnego. Jednym z kroków w tym kierunku jest list otwarty do dyr. Rajchmana, wystosowany przez dr. Waydę, męża znanej zaszczytnie śpiewaczki.

Młodzież lwowska w Warszawie.

Bardzo sympatyczną i ze wszech miar uznania godną myśl wykonało w ubiegłym tygodniu grono uczniów gimnazyalnych ze Lwowa, wybierając się w czasie wolnym od nauki z powodu świąt Wielkanocnych według obrządku grecko-katolickiego, pod przewodnictwem dwu profesorów, na wycieczkę do Warszawy.

Dotychczas wycieczki takie kierowały się prawie wyłącznie do Krakowa — jako do skarbnicy pamiątek narodowych, do Warszawy bowiem, choć miasto to również tak ściśle wiąże się z naszemi dziejami, zwłaszcza z okresem przedrozbiorowym, z powodu najrozmaitszych trudności wycieczki takie były prawie niemożliwe.

Dziś łatwiej o wykonanie takiego zamiaru, to też na wieść, iż wycieczka młodzieży gimnazyalnej do Warszawy nie napotka na przeszkody, zgłosiło się pokaźne grono gimnazyalistów i z profesorami dr. Ludwikiem Bykowskim oraz Tadeuszem Bałabanem wybrało się na kilkudniowy pobyt do grodu Syreniego i w jego okolice.

Imieniem polskiego towarzystwa krajoznawczego zajął się oprowadzeniem sympatycznych gości prof. M. Wisznicki, gościnę zaś znalazła młodzież lwowska w lokalu szkoły p. Wróblewskiego. Goście zwiedzili Warszawę i najbliższą okolicę, następnie zaś wyjechali do Częstochowy i Ojcowa, stamtąd zaś przybyli z powrotem do Lwowa.



Młodzież lwowska w Warszawie: Grupa uczniów V. gimnazyum lwowskiego, uczestników wycieczki do Warszawy, z prof. dr. L. Bykowskim (1), T. Bałabanem (2) i M. Wisznickim (3).

Jeszcze o Muzeum Narodowem.

(Do artykułu na str. 13).

Poświęcając w poprzednim numerze wzmiankę krakowskiemu Muzeum Narodowemu, z okazyi 25-lecia tej instytucyi, pominęliśmy — nie z naszej winy, a z powodu niedokładności źródeł, skąd szczegółów czerpaliśmy — nazwisko właściwego inicyatora tej doniosłej i tak cennej placówki kultury polskiej. Chcąc wynagrodzić tę omyłkę, wbrew naszym najszczerszym intencyom popełnioną, rzecz poniżej wyjaśniamy na podstawie autentycznych wiadomości, a przy tej okazyi zamieszczamy kilka dalszych zdjęć z wnętrza Muzeum Narodowego.



Rajchmaniada w Warszawie: Janina Korolewicz-Waydowa.

Właściwym inicyatorem, który pierwszy poruszył myśl stworzenia w Krakowie Muzeum Narodowego, który następnie z całem zaparciem się około zrealizowania tej pięknej myśli pracował, który również jeden z pierwszych podjął przygotowanie gruntu pod sprawę opróżnienia zamku Wawelskiego z wojska, odrestaurowania go i pomieszcze-

nia tam zbiorów sztuki, a podjął na własną rękę, jest znany historyk sztuki i były długoletni kustosz Muzeum Narodowego, Teodor Nieczuja Ziemięcki.

Myśli swe i projekty rozwinął on w dwu broszurach, z których jedna, pt. „Muzeum Narodowe w Krakowie — projekt T. Ziemięckiego“, pojawiła się 1878 r., druga zaś, pt. „Zamek na Wawelu i Muzeum Narodowe“, w r. 1879. W obu tych ulotnych pismach podał autor nietylko szczegółowy projekt urządzenia Muzeum, ale wskazał tam najwłaściwsze miejsce pomieszczenia przyszłych zbiorów. Miejscem tem miał być zamek na Wawelu; ponad wszystkie uprzywilejowany, skupiający wokoło siebie, począwszy od legend wysnutych na tle Słowiańszczyzny, do gorzkich wspomnień Kalwaryi narodowej, wszystkie chwały i boleści, odrestaurowany z przepychem monarszym — Wawel-Panteon nie powstydziłby się wtedy nawet słynnego Wersalu lub historycznego Muzeum w Rosenbergu.

Inicyatywa p. T. Ziemięckiego przyjętą została z powszechnem uznaniem, a projekt niedługo potem doczekał się częściowego zrealizowania, gdy w odrestaurowanych Sukiennicach otwarto zbiory sztuki narodowej i zabytków naszej przeszłości, w najbliższym zaś czasie doczeka się ostatecznego wykonania, gdy zbiory pomieszczone zostaną w królewskim grodzie na Wawelu.

Jako długoletni kustosz Muzeum położył p. Ziemięcki ogromne, dziś przeważnie niedoceniane zasługi, około zorganizowania i uposażenia instytucyi i jemu w pierwszej linii zawdzięcza Muzeum dzisiejszy swój rozkwit i stan. Za czasów jego działalności, oraz śp. Łuszczkiewicza, zgromadzone tam zostały wszystkie niemal bez wyjątku te cenne dzieła sztuki i zabytki, które są dotychczas ozdobą Muzeum.



Fot. K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.
Zgon jenerała rosyjskiego: Wyjście pochodu żałobnego z Aleksandro-newskiej ławry.

Nowy „bohater“ ukraiński.

Nazywa się Ostap Nazaruk. Jest akademikiem i b. słuchaczem uniwersytetu we Lwowie, skąd za czynny współudział w pogromie styczniowym zeszłego roku został relegowany. Stąd tytuł do bohaterstwa i sławy, zwłaszcza że odbył nietylko operetkową „głodówkę“ w areszcie śledczym, ale należał do oskarżonych w procesie wiedeńskim.



Nowy »bohater« ukraiński: Ostap Nazaruk.

W czasie zbrodni Siczyńskiego, popełnionej na osobie śp. namiestnika Potockiego, bawił Nazaruk we Lwowie i na wieść o wypadku pospieszył odwiedzić swego przyjaciela na policyi, aby mu wręczyć... cukierki. Potem, obawiając się przykrych następstw z powodu tego kroku, ulotnił się ze Lwowa i wyjechał w okolicę Buczacza, gdzie prowadził dalej agitacyę hajdamacką wśród tamtejszego włościaństwa. Ponieważ żandarmerya otrzymała polecenie aresztowania go, przeto nie długo cieszył się wolnością i został w jednej z karczem ujęty i odstawiony do Lwowa.

Wiadomość o tem uwięzieniu wywołała wśród studentów ukraińskich w Wiedniu — jak doniosła tamtejsza „Zeit“ — wielkie wrażenie. A wścibski mecenas dr. Rode, opiekun i obrońca tego rodzaju „bohaterów“ — obiecał nawet interweniować we Lwowie celem wydobycia swego klienta z aresztu śledczego. Jest mu bowiem potrzebny w procesie przeciw Sienkiewiczowi, jako główny oskarżyciel i świadek.

Zgon jenerała rosyjskiego.

Z grona generałów rosyjskich, którzy brali udział w wojnie z Japonią, jedyny może zmarły obecnie gen. Liniewicz zasłużył sobie na powszechne poważanie nie przechwałkami, lecz swą działalnością, która choć z musu ograniczała się tylko na naprawianiu błędów poprzedników, w każdym razie przyczyniła się znacznie do zmniejszenia pogromu wojsk rosyjskich.

Biorąc udział w wojnie od początku kampanii pod naczelnem dowództwem Kuropatkina, on jeden zdołał jako komendant pierwszej armii obronić powierzone sobie oddziały od pościgu wojsk japońskich po bitwie pod Mukdenem i doprowadzić je w zupełnym porządku do Tielinu, gdy dwie inne armie były rozproszone i w zupełnym nieładzie.

Zdolności swe i odwagę okazał gen. Liniewicz i poprzednio w wojnie z bokserami, gdy poprowadził wojska rosyjskie na odsiecz Pekinowi i zajął stolicę Chin. Obdarzony przez Mikada orderem „Wschodzącego Słońca“, Liniewicz przez pewien czas bawił jako gość cesarza japońskiego w Tokio, przyjmowany tam z niezwykłymi honorami.

Zmarły generał pochodził z polskiej szlacheckiej rodziny, osiadłej w gubernii czernihowskiej. Ojciec jego, pułkownik wojsk rosyjskich, cieszył się wielkiem uznaniem w całej armii, z powodu jednak dezercyi pewnego oficera z pułku odebrał sobie życie.

Z dwu jego synów, jeden prawnik, zmarł w Krakowie, zapisując swój majątek na cele dobroczynne, drugi, urodzony w r. 1838, wzięty został do korpusu kadetów, a po skończeniu nauk oddał się karyerze wojskowej. Był to właśnie generał Liniewicz, który już w wojnie tureckiej zdobył sobie order św. Jerzego i złotą szablę od cesarza.



Fot. K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.
Zgon jenerała rosyjskiego: Jenerałowie niosący zwłoki zmarłego wodza.

Ostatnie lata spędził generał w zapomnieniu, mimo to na trumnie zmarłego para cesarska złożyła wieniec, na pogrzebie zaś w ławrze Aleksandro-newskiej obecnymi byli wielcy książęta, ministrowie i naczelnicy armii, jak również oddziały wojsk, które zmarły prowadził do Pekinu.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

8 Ciąg dalszy.

Jeżeli był jej krewnym, to był także krewnym Sandtnera i pewnie udawał się do niego po wsparcie. Sandtner odmówił, może i za drzwi wyrzucił, albo przyjąć go nie chciał, więc przygnieciony napisał list do Elli po to, aby mu u wuja coś wyjednała. Zagroził, że się zabije, aby wywrzeć nacisk. Ella posądziła go o zabójstwo, właśnie na podstawie owego listu, a chłopak przeczył, bo niewinny. Że wziął pieniądze, to niczego nie dowodzi; wziął, bo mu ich było potrzeba, bo w nędzy był nie małej. Że uciekał przed nami, to także nie dowód winy; wszakże mógł sobie wyobrazić, że ścigają go złodzieje, co go podpatrzyli. Miał pieniądze, bał się o nie, uciekał. Czy mógł przypuszczać, aby go policya śledziła, aby w ogródku czatowali ajenci?

— Bardzo przekonywające rozumowanie pańskie — rzekł Haller.

— Dla mnie nie zupełnie — odezwał się sędzia Moran. Dlatego musimy koniecznie dowiedzieć się, kto ten list pisał i wyszukać owego nocnego gościa siostrzenicy Sandtnera. Ella Gerlach musi go wydać.

XI.

Już tydzień upłynął od śmierci Sandtnera. Ten czas był męką piekielną dla Maryi, bo najmocniej była przekonaną, że Fryderyk był zabójcą. Kochała Fryderyka, a teraz kocha tembardziej, gdy się przekonała, że jej dochował wzajemności. Ta miłość rozgrzeszała go w jej oczach; przebaczała mu, że w uniesieniu zabił Roberta, ale trudno jej było oczyścić go z winy, że dopuścił się i drugiego morderstwa.

Zabicie Zofii Strobel wydało się jej bezpotrzebną zbrodnią, więc właśnie gnębiła ją ta walka między miłością, a wstrętem do zbrodni i do zbrodniarza. Jeszcze przed tygodniem był dla niej ideałem, niemal bożyszczem, a dziś widzi krew na jego dłoniach, lęka się go, czuje nawet odrazę. Ponad tem wszystkiem góruje żal, że się strącił z tego piedestału, na którym go jako swój ideał postawiła. Tak jej teraz pusto w świecie, taka się czuje osamotniona, a nietylko niema dla siebie żadnej w życiu podpory, ale jeszcze musi ochraniać Fryderyka, usuwać od niego wszelkie podejrzenia policyi. Zamiast schować się po za silną piersią męską, wypadło jej samej być dla Fryderyka puklerzem. A musi go chronić, musi go ocalić, bo przecież kocha go i kochać nie przestanie.

Niekiedy ją ogarniają takie rozpaczliwe myśli, iż radaby umrzeć czemprędzej. Żyć z tą miłością tak ciężko bez niego, a z nim połączyć się nie może, bo rozdzieliła ich na zawsze rozlana krew Roberta i brutalne zamordowanie Zofii.

Weszła służąca i podała bilet. Marya zachwiała się z przerażenia; był to bilet Fryderyka Merka.

— Proś — rzekła drżącym głosem i odprawiwszy służącą, pospieszyła do salonu natychmiast.

— Pan tu?... jak mogłeś?

— Czy pani się gniewa? — zapytał Fryderyk spokojnie.

— Jestem otoczona szpiegami, cały dom pod nadzorem policyi.... Pochwycą pana natychmiast.... zawloką do więzienia....

— Za co? — zapytał Fryderyk spokojnie.

— Pan się pyta?.... Pan nie wie?...

— Istotnie, że nie wiem, tylko domyślam się, że pani bardzo się pomyliła. Dlatego właśnie przybywam tu, aby osobiście odpowiedzieć na list, który otrzymałem.

— Ale tymczasem może być nieszczęście, mogą tu pana uwięzić.

— Niech pani będzie spokojną. Powracam wprost z policyi i od sędziego śledczego. Nie zabiłem ani Roberta, ani Zofii Strobel.

Marya spojrzała na Fryderyka zrazu niedowierzająco, potem ze współczuciem, aż wreszcie głęboka miłość odezwała się gwałtownie i łzy radości spłynęły z oczu Maryi.

— A więc to były tylko moje przywidzenia! Jakaż ja panu jestem wdzięczna!... Ile ja przecierpiałam.

— I pani mogłaś na chwilę nawet przypuszczać, abym do takich zbrodni był zdolny?

— Wybacz pan... zdawało mi się, że pana zemsta uniosła, że pan... przez wspomnienie... życzliwość dla mnie rzuciłeś się na Roberta; tem bardziej zaczęłam w to wierzyć, że spostrzegłam na posadzce...

— Czarny guzik, który przypadkowo urwałem, drzwi otwierając. Już i z tym guzikiem sprawa wyjaśniona.

Fryderyk opowiedział teraz wszystko to, co opowiadał Hallerowi, a następnie sędziemu śledczemu.

— Taki to zbieg okoliczności wytworzył niemiłe dla mnie pozory, ale na szczęście i w policyi i w sądzie uwierzono mi zupełnie i żadne na mnie nie cięży podejrzenie. Czy pani już spokojna?

— Nietylko spokojna, ale szczęśliwa.

— Dziękuję ci Maryo. Bóg już osądził tego, co nas na lat kilka rozdzielił, więc należy mu wybaczyć. A skoro teraz jesteśmy znowu dla siebie tem, czem byliśmy przed laty, pozwól mi pani bym ci powtórzył, co mówiłem dawniej, że cię kocham, uwielbiam.

Marya wyciągnęła ku niemu ręce i uścisnęli się, jakby ich przez lat kilka nic nie rozdzielało.

XII.

We Floridsdorf, w zakrytym fabrykami zaułku, jest stara szynkownia w suterenach, znana wszystkim włóczęgom zarówno — jak policyi. Nazywa się w potocznej mowie uliczników „Latarnią", a taka ponętna dla oberwańców wszelkiego rodzaju, że zawsze w niej pełno. Policya opiekuje się „Latarnią" troskliwie i nigdy jej tam nie braknie śledczego materyału.

I dziś tam jeszcze gwarniej niż zwykle, bo odbywa się stypa pogrzebowa. Już uderzyła jedynasta w nocy, a jeszcze nie skończyły się żale po stracie towarzysza. Zalewano robaka i piwem i wódką, niekiedy „heurigerem" na przemianę. Jakże nie zalewać robaka, kiedy jeden z najdzielniejszych towarzyszy, sławny z dowcipnej głowy i silnej ręki skończył dziś na szubienicy. Znany w całym Wiedniu Peppi Młot, zginął marnie i za co? Ot, wydarzyło mu się nieszczęście, że w nocy, na Praterstern, jakoś niechcący przejechał nożem po gardle handlarza bydła, co miał przy sobie za dużo pieniędzy. Biedny Peppi! Jeszcze „kriegl" piwa, jeszcze ćwiartkę „heurigera".

Wesoła gromada kilkunastu hultaji pije, krzyczy, podśpiewuje, a między nimi rej wodzi starszy od nich wiekiem, może około czterdziestu lat liczący człowiek krępy, silny, o twarzy zuchwałej, a chytrej.

— Prosit Fredi! — zawołał ku niemu ochrypły, napół pijany smarkacz dwudziestoletni i trącił się „krieglem".

— Cóż ty knocie tak się poufalisz — krzyknął inny, starszy chłopak. Cóż to, Fredi z tobą świnie pasał? A, znaj uszanowanie chłystku jakiś. My starsi, to co innego, my już przyjęci do cechu. — Prosit Fredi!

I tak kolejno zwracali się wszyscy do tego — co rej między nimi wodził, bo snać nie mały mieli dla niego szacunek. A było kogo szanować. Fredi to artysta: dwa wytrychy, obcęgi i dłutko w kieszeni, a tem sztuki dokazywał. Pieniądze miał zawsze, zamki otwierał, złapać się nie dał na gorącym uczynku, od podejrzeń się wywijał. Zuch wielki. W księgach policyjnych miał sporo zapisanych rachunków, a jego fotografia zajmowała naczelne miejsce w policyjnym albumie rzezimieszków.

— Obława! — krzyknęła stara wiedźma, wpadając do izby szynkowej.

— W nory! — zawołał Fredi i wypadł pierwszy bocznemi drzwiami. Za nim zdążali jedni, inni zwrócili się do drzwi głównych, ale w progu zastąpił im drogę komisarz Haller i zawołał:

— Nie tak pilno chłopcy! tam was nie puszczą. Pogadamy cokolwiek. Ocho!... widzę tu dobrych znajomych. Cóż ty Maks porabiasz, żem cię tak dawno nie widział?

— E, ja już nie chcę panu komisarzowi tak bardzo się naprzykrzać, pracuję teraz w warsztacie.

— A w jakim?

— O, w bardzo porządnym, niech wszyscy poświadczą.

— Świadczył się cygan swojemi dziećmi — prawda?

— Pan komisarz to mnie jakoś nie lubi, bo mi nic nie wierzy.

Komisarz Haller surowy był dla urwiszów, nie przepuszczał im niczego, ale się też nad nimi nie znęcał. Bali go się — to prawda, ale nienawiści nie mieli do niego żadnej. Możnaby nawet powiedzieć, że poniekąd popularny był między nimi, bo nieraz pożartował, niekiedy nawet poczęstował piwem, albo i winem.

Ajent policyjny przeglądał legitymacye, sprawdzał je i wypuszczał niepodejrzanych. Wśród tej gromady znalazło się przecież aż siedmiu takich, na których policya czyhała i tych zaraz wzięto pod straż. Już miano opuścić szynkownię, gdy z poza bocznych drzwi wyszedł jeden z ajentów i oznajmił, że schwytano jakiegoś człowieka, który do piwnicy się schował, a gdy go dopatrzono, odrzucił od siebie jakieś zawiniątko i zacięty stawiał opór, gdy go ująć chciano.

— Zaraz go tu przyprowadzić — rzekł komisarz Haller.

Sprowadzono człowieka ze skutemi rękoma.

— A, Fredi Młot! Jak się masz stary przyjacielu — rzekł komisarz.

— Nie dobrze panie komisarzu, bo mi ręce skuli, jakby jakiemuś złodziejowi.

— Czemużeś nie chciał przyjść dobrowolnie?

— Żeby nie robić ambarasu i sobie i panu komisarzowi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiosenne zmiany w rozkładzie jazdy.

Dyrekcya kolei państwowych komunikuje: Z dniem 1. maja b. r. zaprowadza się na wszystkich liniach kolei państwowych w Galicyi i na Bukowinie nowy rozkład jazdy z następującymi najważniejszemi zmianami.

Pociąg osobowy Nr. 19, wychodzący z Krakowa do Lwowa o godz. 10·30 wieczór został przyspieszony i wskutek tego nie będzie się zatrzymywał w stacyach Podłężu, Kłaju, Biadolinach, Bogumiłowicach, Czarnej i Trzcianie, i na przystankach Grodkowice, Rzezawa, Grabiny.

Pociąg osobowy Nr. 25 wyjeżdżający obecnie z Krakowa o godz. 3-ciej popołudniu i kursujący tylko do Słotwiny, został przedłużony aż do Tarnowa, i uzyska w Tarnowie wskutek przyspieszenia bezpośrednie połączenie do Szczucina, Stróż, Nowego Sącza, Jasła i Zagórza, a w sezonie letnim i do Muszyny Krynicy.

Między Krakowem a Wieliczką została zaprowadzoną nowa para pociągów osobowych: Nr. 414 odchodzący z Wieliczki o 3-ciej popołudniu a przyjeżdżający do Krakowa o godz. 3·30 i Nr. 413 odjeżdżający z Krakowa o godz 11·10 w nocy a przyjeżdżający do Wieliczki o godz. 11·40. Pociąg Nr. 414 ma w Bierzanowie połączenie do przedłużonego pod Tarnów pociągu Nr. 25, a w Podgórzu Płaszowie w czasie letnim do pociągu Nr. 1020 do Zakopanego. Pociąg Nr. 413 ma w Podgórzu Płaszowie połączenie od pociągu Nr. 1021 z Sącza i z Zakopanego.

Między Krakowem a Zakopanem i Rabką będą kursowały pociągi pospieszne od 15 czerwca **bez przerwy** do 10 września **w obu kierunkach**. Odjazd z Krakowa o godz. 7·15 rano, przyjazd do Rabki o godz. 9·54 a do Zakopanego o godz. 11·25 przedpołudniem i odjazd z Zakopanego o godz. 4·90 popołudniu, z Rabki o godz. 5·34 popołudniu, a przyjazd do Krakowa o godz. 8·10 wieczór. Pociągi te mają połączenie od, względnie do pociągów pospiesznych lwowskich, wiedeńskich i warszawskich i będą się zatrzymywały w stacyi Kalwaryi dla połączenia z pociągami c. k. kolei północnej.

Na szlaku Dębica, Rozwadów, Przeworsk zaprowadza się trzecią popołudniową parę pociągów osobowych z połączeniami do pociągów pospiesznych i osobowych głównego szlaku Lwów — Wiedeń.

Co do pomniejszych i szczegółowych zmian można się poinformować ze ściennych rozkładów jazdy, wywieszonych we wszystkich stacyach i z kieszonkowego rozkładu jazdy, który nabyć można we wszystkich kasach osobowych.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

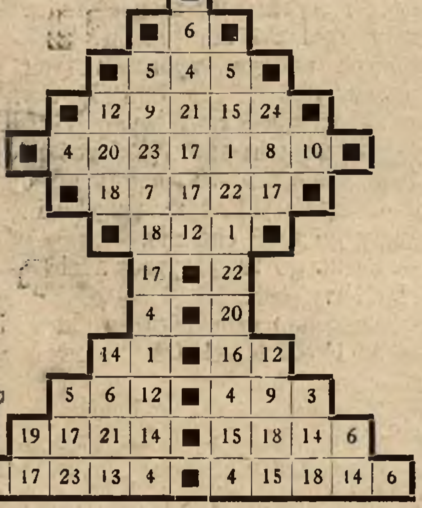
Ułożył H. M.

Pierwsza do mierzenia anglikowi służy,
Druga wraz z pierwszą wspak i męczy i nuży ,
Gdy komu czasem w nocy lica ukazuje,
W tedy człowiek choć we śnie bojaźń w sercu czuje.
Trzecia wraz z drugą bieg wody odmienia;
Druga i trzecia chroni nogi od zziębnienia.
Pierwsza wspak wraz z trzecią u biednego człeka
Zawsze odkładana na pierwszego czeka.
Drugą po dwa razy tak samo i trzecią
Najłatwiej wymówić najpierw małym dzieciom.
Wreszcie pierwsza wspak i druga odrazu
Konieczny dodatek każdego obrazu.
Całość, gdy w życiu, popłoch wokół sieje,
Gdy stoi nie czynna, to się dobrze dzieje

Arytmogryf.

Ułożył E. H.

Cyfry i kwadraty zamienić na litery i utworzyć 13 wyrazów, tak aby litery oznaczone kwadratami, czytane z dołu do góry, utworzyły nazwę czasopisma polskiego.

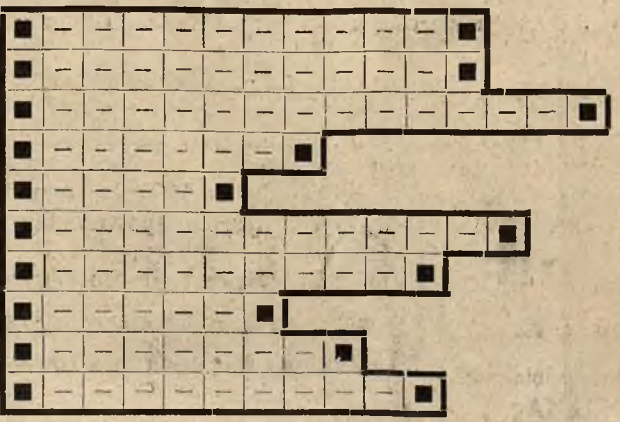


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Tytuł w Anglii. 3. Kraina w niemieckiej Afryce wschodniej. 4. Archolog niemiecki piszący o polskich wykopaliskach. 4. Prowincya włoska. 6. Miasto w Persyi. 7. Lewy dopływ Rodanu. 8. Wykrzyknik. 9. Liczba. 10. Historyczne miasteczko w gub. Kowińskiej. 11. Góra w Tatrach. 12. Założyciel instytucyi głuchoniemych w Warszawie. 13. Historyk polski.

Zagadka.

Ułożył Maryan z Pikułowic.

W miejsce kwadratów i kresek wpisać wyrazy tak, aby litery wpisane w miejsce kwadratów czytane w około dały tytuł dramatu greckiego Wyspiańskiego.



Znaczenie wyrazów: 2. Powieść Morzkowskiej. 2. Powieść Kraszewskiego. 3. Powieść Kraszewskiego. 4. Powieść Wilkońskiej. 5. Imię męskie. 6. Powieść Dzieczkowskiego. 7. Komedya Mostowskiego. 8. Historyk polski. 9. Powieść Orzeszkowej. 10. Dwie powieści Rodziewiczównej.

Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy na nagrodę ostatni utwór Daniłowskiego: »Wrażenia więzienne«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 16.

Szarada.

Palestyna.

Łamigłówka.

Mak, Kazań, Wacław, Magnat, Anna, Wagram, Kaukaz, Karś, Pad.

Szarada.

Sienkiewicz — »Ponad życiem«.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: R. Jaworski Kraków, E. Hõhr Warszawa, Z. Gaudnik Stary Sącz, T. Kopystyński Lwów, M. Myszkowska Hruszowice, L. Złochowski Zaleszczyki, K. Fuchs Czeremchów, S. Chorubski Jazowsko, W. Masiuk Dębniki, M. Grodzicka Dębniki, J. Bursa Brzostek, B. Ramułtowa Jeżów, M Łozicka Nowo-Radomsk, J. Filles Kraków, W. Janicki Rzeszów, R. Korytowski Kraków, K. Zieliński Brzeżany, S. Ohrenstein Kraków, W. Andrzejewski Kraków, A. Górlowa Chyrów, W. Pierzchała Połna, A. Rotter Stanisławów, W. Spirydowicz Stara Sól, W. Rakiewicz Częstochowa, K. Łaszkiewicz Sambor, J. Pattek Stanisławów, J. Garbień Stryj, M. Stachowicz Kraków, E. Wieczorkowa Kraków, J. Baczyński Ropienka, W. Dąbrowiecki Walawa, J. Krukowicz Kołomyja, A. Kiełczykowski Glinnik Maryampolski, B. Leszczyński Borysław, J. Romankiewicz Stanisławów, W. Sygnarski Posada Olchowska, T. Garbasiński Bonarka, J. Toudyra Bieńkówka, Z. Geppertowa Michowa, A. Mussil Lwów, F. Niepokój Krosno, J. Badura Rożdzień, M Arbesbauer Lwów, A. Bocsoń Bóbrka, B. Moszkowska Kielce, Stowarzyszenie ku wspieraniu położnic Tarnów, M. Kuzia Wadowice, K. Pisowicz Dulczówka, Kwapiński Równe, I. Wielgus Wadowice, Ks. Jan Dagnan Piwniczna, K. Scholz Golcowa, A. Rakowski Krakow, K Lacki Kraków, H. Grabska Kraków, M. Hase Kraków, K. Kozłowski Żyrardów, O. Tłuchowski Warszawa, F. Miller Zagurów, M. Małaczyński Pikułowice, H. Milkówna Radymno, Podobińscy Rawa Ruska, Ks. J. Mamak Harbutowice, E. Zażulińrka Olszanica, L. Złowodzka Delatyn, Z. Furko Kraków, S. Kiersnowski Kopyś. A. Grabowska Barwałd.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p Helena Milkówna w Sośnicy. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

Śliczną letnią bluzkę, jak też najnowsze materye na bluzy i suknie damskie można obecnie nabywać u znanej firmy: Grand Magasin »Au Prix Fixe« Wien I. Habsburgergasse 1/7 po niebywałych, wyjątkowo niskich cenach. Zwracamy uwagę PP. Pań na ogłoszenie dzisiejsze powyższej firmy.

(Dra Möllera zakład zdrowotny dla dyetycznych kuracyj według Schrotta w Dreźnie Loschwitz). W cudowniczem położonym Loschwitz, sławnem z przepięknych krajobrazów przedmieściu Drezno, stolicy i miasta sztuk pięknych otwartym został tej wiosny nowy, modnie i z największym komfortem urządzony zakład zdrowotny, w którem bywa stosowanem jako nadzwyczaj skuteczne sławne leczenie według Schrotta. Jest to największa sposobność, aby leczenie ile możliwe ułatwic i jego zasłużony rozgłos, nawet w wypadkach zastarzałych chorób, na nowo udowodnić. Obszerną broszurę o tem leczeniu, wraz z prospektem tego zakładu, wysyła na żądanie sanatoryum Dr. Möllera w Loschwitz darmo i opłatnie.